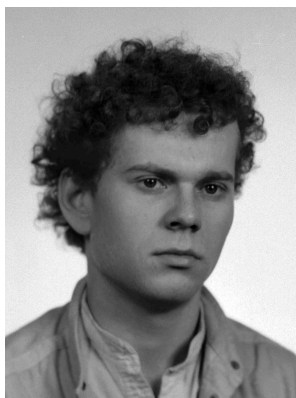


Jacek „Wiejski” Górski

Moje PRL-owskie dzieciństwo.



„Wiejski” w 1985

Urodziłem się w 1965 roku, w dniu kolejnego, jednomyślnego jak zwykle, powołania Józefa Cyrankiewicza na premiera PRL. Gdzieś daleko w wolnym świecie Beatlesi nagrywają „Help” i „Yesterday”, a Mick Jagger tworzy „Satisfaction”. Dorastałem w jakże złudnym przekonaniu, że jestem wnukiem Józefa Piłsudskiego :))). W domu stały figurki „dziadka” (jak pieszczotliwie mawiano na Marszałka) więc skojarzenie było proste. Potem okazało się, że to nie Komendant, a Zygmunt Górski ps. „Gryz” był moim dziadkiem. Dopiero po latach archiwa wojskowe i obozowe odsłonią mi historię jego życia – w wieku 8 lat dziadek został wyrzucony z carskiej szkoły za udział w strajkach szkolnych w 1905 roku. Tworzył radomskie struktury PPS, NZR, POW, by w końcu wstąpić do Legionów. Jako nastolatek

kolportował i drukował prasę konspiracyjną, malował hasła na murach, gromadził broń zdobytą od Rosjan, rozbrajał Austriaków w Radomiu i Niemców w Warszawie. W styczniu 1941 r. został aresztowany przez Gestapo. Pełnił wówczas funkcję Szefa Grupy Bojowej Radomskiego Okręgu ZWZ „Jodła”. Po brutalnym śledztwie trafił do KL Auschwitz, gdzie został rozstrzelany na słynnym „Żwirowisku” niespełna dwa miesiące później. Chciałbym wierzyć, że jego geny w jakimś stopniu wpłynęły na mój przyszły światopogląd. W czasie moich genealogicznych podróży okazało się, że nie tylko dziadek konspirował od dziecka. Jego 16-letnia siostra, aresztowana w 1906 za tajne nauczanie, odzyskała wolność dzięki zamachowi bombowemu na tajniaka, który ją właśnie zatrzymał. W tym samym okresie jej 17-letni narzeczony i późniejszy mąż dowodził inną ekspedycją karną wykonującą inne zamachy bombowe. Wuj mojej babci, Jan Stoliński ps. „Mateusz” w 1905 roku brał udział w zamachu na Generała Gubernatora Warszawskiego Gieorgija Skałuna, a mój drugi dziadek Jan Bartnicki udając pełnoletniego, zaciągnął się do WP by w wieku 16 lat bić bolszewika. W wyniku ran odniesionych pod Grodnem, do końca wojny leczył się w szpitalu. Wszyscy oni zaczęli działalność niepodległościową jako dzieci! Przez następne 80 lat historia nieustająco wysyła polskie dzieci na walkę o Niepodległość: „Orlęta Lwowskie”, polegli w wojnie polsko-bolszewickiej, „Szare szereg”, Powstańcy Warszawscy, Romek Strzałkowski, Grzegorz Przymek i wreszcie ostatnia młoda ofiara komuny Robert Możejko z Warmińsko-Mazurskiego FMW Warmii i Mazur, który został zamordowany przez jak zwykle „nieznanych” sprawców w przeddzień czerwcowych wyborów 1989 roku. Mam wielką nadzieję, że nasze pokolenie jest już ostatnim, które musiało wyjść na ulice w walce o Niepodległość.

Ja, w przeciwieństwie do mojego dziadka, dzieciństwo mam beztróskie. Już w przedszkolu daję się poznać jako żarliwy antykomunista i na pytanie przedszkolanki „dzieci, czy wiecie kto to jest towarzysz Gomułka?” wypalam bez namysłu „to ten pan, co jak mówi, to mama każe wyłączać radio”. Mówiąc jednak już poważnie, dorastam w klimacie charakterystycznym dla mojego pokolenia. Pierwsze przygody na warszawskiej Pradze i pierwsza wielka miłość, Lolek i Bolek, Bonanza, Reksio, Kobra, Zorro i Niewidzialna Ręka i upojny zapach chińskich gumek do ścierania. Jedyny problem to wieczny lęk przed czarną Wołgą z zakonnicami łaknącymi młodej polskiej krwi dla chorych na białaczkę dzieci w NRD. To jest pierwsza i zarazem najstraszniejsza „urban legend” w moim życiu. Wszystkie podwórka pustoszały, gdy pojawiała się czarna Wołga! Później dowiedziałem się że Wołga to ulubiony samochód nie zakonnic a UB. Gdzieś w piątej klasie podstawówki pojawiło się zainteresowanie XX-wieczną historią Polski oraz fascynacja lotnictwem. Potem jednak zaczął

psuć się sielankowy obraz świata, może wraz z wprowadzeniem pierwszych kartek na cukier w połowie lat '70. W tle dziecięcych zabaw i przygód problemy ludzi dorosłych – brak podstawowych artykułów, kolejki po wszystko. Nieosiągalne „zachodnie” jeansy kosztowały tyle co pensja mojego ojca, a wyznacznikiem dziecięcego dobrobytu była zachodnia guma balonowa „Donald”, zawierająca w środku namiastkę komiksu – prawdziwe komiksy były dostępne tylko na czarnym rynku. Zabawni „Cubanos Partizanos”, czyli ludzie którym udało się kupić papier toaletowy. Zdobyć taką, najczęściej od razu kilkadziesiąt rolek, nawlekało się na sznurek który po zawiązaniu w pętlę przewieszało się przez barka, czasami były dwie pętle na krzyż. Taki szczęśliwy nabywca stawał się karykaturą partyzanta obładowanego taśmami amunicyjnymi. Miesiącami sprawdzało się numerki w kolejkach po telewizor, lodówkę, opony do samochodu (po te stałem 3 lata, w końcu pozbyłem się malucha, a moje miejsce odstąpiłem szwagrowi. Jednak w międzyczasie komuna upadła i wyszło na to że staliśmy ponad 1000 dni na darmo! Dziś nie wyobrażam sobie jak myśmy mogli tak żyć?!

Wracając jednak do wczesnego dzieciństwa pamiętam jak ojciec w wielkiej tajemnicy opowiadał mi o Katyniu, Poznaniu '56 czy Wybrzeżu '70, ostrzegając zarazem, że prawda to niebezpieczna. Wyraźne jest jeszcze wspomnienie z wakacji na podradomskiej wsi '76 - dziecięce plotki o stojących na bocznicach wagonach pełnych rosyjskich żołnierzy. Ubrojeni po zęby czekali na znak do interwencji w pobliskim Radomiu. Opowieść ojca o spalonym KW Partii w Radomiu i traktorze ciągnącym dywan z transparentem „Chcemy chleba nie dywanów”. Pierwsze podziemne wydawnictwo, jakie zapamiętałem w domu nosiło chyba tytuł – „Na indeksie GUKPPiW”, wydana pod koniec lat 70-tych czarna lista PRL-owskiej cenzury. Jak przez mgłę słyszę jeszcze jak starszy kolega objaśnia mi znaczenie napisów KOR i KPN wymalowanych na murach pod koniec lat siedemdziesiątych. Jeszcze teraz odczuwam radość tego poranka gdy z opóźnieniem dowiedziałem się, że my Polacy „mamy Papieża”. Czy ktokolwiek w tamtym rozdyktowanym porannym autobusie mógł przypuszczać, co to będzie oznaczało dla Polski i Świata. Docierają pierwsze wieści o sowieckiej okupacji Afganistanu. Moim wieczorom spędzanym w domu nieustannie towarzyszą ciche trzaski i zachrypnięty głos Radia „Wolna Europa”. Z tego jednostajnego i niezrozumiałego dla dziecka szumu z czasem wydobywają się pojedyncze słowa, zdania, komunikaty, a w końcu obraz PRL i komunizmu. Moja ciotka Zofia Romanowiczowa (z domu Górská) jest znaną pisarką emigracyjną. Na paryskiej wyspie Św. Ludwika, wraz z mężem Kazimierzem prowadzi Księgarnię Polską, Wydawnictwo „Libella” oraz Galerię „Lambert”, tworząc jeden z ważniejszych ośrodków emigracji polskiej na obczyźnie po II wojnie światowej. W 7 i 8 klasie podstawówki walczyliśmy o każde słowo ze skomuszałymi nauczycielami historii. Dostają apopleksji, gdy pod byle pretekstem próbujemy zakłócać lekcję poruszaniem tematyki roku 20-tego, Legionów Piłsudskiego czy Katynia.

Jest jeszcze jedno wydarzenie, które z pewnością kształtuje moją przyszłość. Była to niewinna w gruncie rzeczy przygoda z MO w 77 może 78 roku. W trakcie przejścia z kolegami przez Trasę Łazienkowską w niedozwolonym miejscu, wymachujemy w stronę „suki” floretem Jacka Czarneckiego „Czarnego” (trenował szermierkę) coś tam wykrzykując. Milicjanci ochoczo przyłączają się do zabawy i w chwilę później ścigają nas po całym Grochowie swoją śliczną milicyjną suką. Czuję wówczas po raz pierwszy ten dreszczyk emocji i... nie dałem się złapać. Zapewne od tego sztubackiego wybryku zaczyna się nasze kumpłowanie z „Czarnym”.

W wieku 15 lat byłem już przygotowany emocjonalnie do nadejścia polskiego „Sierpnia”. Przychodzi rok '80. Najpierw docierają informacje o strajkach na Lubelszczyźnie, chwilę potem stoi Gdańsk, Szczecin, Jastrzębie, wreszcie strajkuje cała Polska. Od września 1980 roku uczę się w Technikum Lotniczym. Na lekcje dojeżdżam autobusami oklejonymi plakatami o pogotowiu strajkowym. Odbynam praktyki w Warszawskich Zakładach

Mechanicznych i Państwowych Zakładach Lotniczych - widzę rodzącą się Solidarność. Powstają ruchy młodzieżowe jak Uczniowski Ruch Odnowy, Międzyszkolnym Komitecie Odnowy, Federacja Młodzieży Szkolnej – wtedy po raz pierwszy dociera do mnie wydawany od 1979 roku przez Młodą Polskę, a później FMS - „Uczeń Polski”. Pamiętam wzruszające uroczystości z okazji 11 listopada w Katedrze. Chyba wtedy powstała tzw. Dolinka Katyńska, symboliczne miejsce na Cmentarzu Powązkowskim, skąd „nieznani sprawcy” pod osłoną nocy ciągle usuwali powstające tam tablice i plakaty. Atmosfera staje się coraz bardziej napięta. Pobicie Rulewskiego w Bydgoszczy, pacyfikacja Wyższej Szkoły Pożarnictwa na Żoliborzu i przygotowania do organizacji „Marszu Gwiazdzistego” w Warszawie. Warszawa huczy od plotek o planowanym wprowadzeniu stanu wyjątkowego. Moja siostra Agnieszka Górską (obecnie Dzikowska), studiuje na I roku Biologii na Uniwersytecie Warszawskim. Zazdroszczę jej tej dorosłości, możliwości wstąpienia do NZS, a przede wszystkim udziału w strajkach studenckich. Strajki na UW kończą się na kilka dni przed wprowadzeniem Stanu Wojennego.

Stan Wojenny.

W nocy z 12 na 13 grudnia coś dziwnego dzieje się na naszym podwórku. W środku nocy pod sąsiedni tzw. „blok wojskowy”, zjeżdżają się ciężarówki wojskowe i samochody osobowe. Nic jeszcze nie podejrzewamy i idziemy spać. Stan Wojenny odkrywamy sennie i powoli, jak nieświadoma tragedii ta część społeczeństwa, której nie dotknęły nocne aresztowania. Powielam schemat wielu polskich przebudzeń w dniu 13 grudnia 1981. Godzina 10.00: głucha cisza zamiast ulubionej audycji satyrycznej „60 minut na godzinę”; milczenie telefonu, kasza w telewizorze, choć powinien kończyć się właśnie Teleranek... i wreszcie Jaruzelski ze swoim „przemówieniem do narodu”. Nie wierzymy własnym uszom:

**Stan Wojenny!
Godzina milicyjna!
Zakaz zgromadzeń!
Zakaz fotografowania!**

Wszystko to brzmi tak nierzeczywiście, tak okupacyjnie. Cicho gra Radio „Wolna Europa”, analizujemy każde słowo. Wieczorem robię pierwszą nielegalną rzecz w moim życiu: z dużej gumy wycinam dwukolorowy stempel i drukuję pierwsze w życiu ulotki o wysublimowanej treści „WRON Won” (WRON-Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego). Okrutnie dumny jestem z tego hasła do momentu gdy się okazało, że wielu na nie wpadło. Potem były ulotki informujące o audycjach Radia Solidarność, UWP (czyli uwolnić więźniów politycznych) czy Nasze Wybory To Szczera IPAB/DA. Zapomniana już dziś Prawda, to propagandowa tuba Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego – gazeta wyjątkowo zajadłe napadająca na polską Solidarność.



Ulotki wykonywane przeze mnie techniką gumorytu

Działam w konspiracji przed mamą, która woli bym nie zaczynał tak szybko dorosłego życia. Swoją drogą sama zachęca mnie do czytania bibuły – dziś myślę, że wiedziała dużo więcej, niż mi się wtedy wydawało. Czasem tylko robi mi wyrzuty (zwłaszcza po moich zatrzymaniach), że znów jej o czymś nie informuję. W tym czasie mój ojciec pracuje na kontrakcie w Algierii pozostawiony sam na sam z troskami o los rodziny, bez wieści od nas. Noszę przy sobie list do mojej cioci we Francji, w którym chcemy poinformować rodzinę, zwłaszcza ojca, że u nas wszystko ok. List ten miał zostać przekazany pierwszemu napotkanemu obcokrajowcowi z prośbą o wysłanie za granicę. Następnego dnia urywam się spod opieki mamy i pędzę do „Czarnego” pochwalić się moimi ulotkami. Mamy przymusowe ferie, wieczorem siedzimy w domu przymuszeni godziną milicyjną. Rozkładałam w pokoju dziesiątki postemplowanych kartek formatu A3, które po wyschnięciu tnę na pojedyncze ulotki. Gotowe rozklejam i rozrzucam na Grochowie. Z uwagi na pracobłonne cięcie dużych arkuszy papieru, przerzucamy się na rolki z kas sklepowych do drukowania paragonów, z których ogołacamy sklepy spożywcze. Wydrukowane w ten sposób ulotki cięło się dużo szybciej. Następną innowacją był druk ulotek na szarej taśmie pocztowej, która z jednej strony pokryta była cuchnącym, ale mocno trzymającym na gładkich powierzchniach, klejem kostnym. Dzięki temu na akcje zamiast kleju brało się mokrą gąbkę. To moja pierwsza nielegalna drukarnia i moje pierwsze ulotkowania – mam 16 lat.

Dziś ulotki wyglądają całkiem niewinnie, jak dzisiejsze wlepki. Każde dziecko przygotowuje takie coś w 5 minut na komputerze i „rzuci” na laserową drukarkę. Jednak to jest początek lat 80-tych! Za posiadanie powielacza idzie się do więzienia, a posiadacze maszyn do pisania wzbudzają zainteresowanie władz. Praktycznie wszystkie rzeczy potrzebne w drukarni tj. maszyny, papier, farby, folie samoprzylepne są albo nieosiągalne albo reglamentowane pod nadzorem. Komputer, podłączony do telewizora, pełniącego rolę monitora, kojarzy się jedynie z grami Atari i joystickiem. Tak więc w tych czasach gdy powielanie czegokolwiek oznacza konieczność udania się do usługowego punktu ksero, najlepiej z dowodem osobistym w zębach – uzyskany efekt jest w pełni zadawalający. Jest Stan Wojenny i traktuję tę działalność bardzo poważnie, wiedząc że konsekwencje w przypadku złapania na gorącym uczynku z pewnością będą całkowicie „dorosłe”. Dziś te cudem zachowane skrawki papieru mają dla mnie zdecydowanie większą wartość, niż

profesjonalne ulotki „tłuczone” parę lat później w kilkudziesięciotysięcznych nakładach na powielaczu.

W poniedziałek 14 grudnia wpadamy z „Czarnym” do jego szkoły, gdzie jego nauczyciel Przysposobienia Obronnego pozwala nam się zapoznać z przekrojowym modelem Kałasznikowa. Już nie pamiętam o czym sobie myślałem poznając zasadę działania AK-47, z pewnością o niczym grzecznym. Po wyjściu ze szkoły kotwiczymy na kilka godzin w kilkusetosobowej kolejce po chleb. Na półkach sklepowych jest już jedynie ocet spirytusowy. Podobno jajko na bazarze kosztuje już 1000 zł (oficjalna cena cukru to 10,50zł... i tak go nie było).

W odpowiedzi na ogłoszony „zakaz fotografowania” wyciągam z szafy kieszonkową Smienę i, półprofesjonalnego w owych czasach, Zenitha E. Pierwsze dni Stanu Wojennego spędzamy z „Czarnym” na fotografowaniu wszystkiego co „wojenne”.

Do dziś pamiętam jak uciekamy przed milicją przez zaśnieżony Park Ujazdowski. Krzyczę „tu gdzieś jest jezioro”, chwilę potem pęka pod nami niewidoczny lód powodując przyspieszone bicie serca. Przez znajomą z czasów podstawówki dziurę w ogrodzeniu wybiegamy na ul. Jazdów, tym razem jeszcze się udaje...

16 grudnia 1981 ZOMO pacyfikuje KWK „Wujek”, nieśmiało pojawiają się pierwsze w świece w oknach. Ustalamy rodzinne hasło mówiące o wpadce – jest to imię Eryk użyte w dowolnym kontekście. Należało do znajomego mamy, który za kolaborację z komuną stał się „persona non grata”. I w ten sposób Eryk XYZ zostaje skazany na zapomnienie, zaś jego imię właściwie spożytkowane. Po raz pierwszy zostałem zatrzymany 17 grudnia 1981 w trakcie wyprawy na kolejne „bezkrwawe łowy”. Docieramy z „Czarnym” w okolice słynnego kina „Moskwa”. Obrazek utrwalony przez Chrisa Niedenthala - SKOT z Moskwą i „Czasem Apokalipsy” w tle, jako symbol Stanu Wojennego obiegnie cały świat. Kto wie może i nam udało się wtedy zrobić podobne, niestety nie przetrwała ani jedna klisza z tamtych dni. Jakiś „czerwony” emeryt krzyczy na nas, że nie wolno fotografować, że Stan Wojenny i takie tam... Wskakujemy do tramwaju, za oknem gratka, SKOT z wieżyczką, koksownik i wojskowy posterunek. Otwieram okno w tramwaju i na bezczelnego robię zdjęcia. Moja lekkomyślność wepchnie nas po chwili w łapy wojska i milicji. Któż mógł przypuszczać, że zatrzymają ruch na całej Puławskiej i będą po kolei rewidować wszystkie tramwaje, których zjechało się już całe mnóstwo. Żołnierze wyciągają mnie z tramwaju, a „Czarny” niczym piastunka ujawnia się mówiąc, że jesteśmy razem. Jestem na niego zły – mogłem przecież usiąść sam, a tak liczba „jeńców” wzrasta niepotrzebnie. Łądujemy na komendzie na Malczewskiego. Przydaje się wcześniej uzgodniona wersja zeznań: jesteśmy modelarzami, zdjęcia nam są niezbędne do budowy modeli pojazdów pancernych. W trakcie przesłuchania straszony jestem nieuchronnym więzieniem i różnymi takimi. Znalezione przy mnie list do rodziny za granicą łąduje w koszu i do dziś nie wiem czy była to zwykła „słuchającego” mnie milicjanta, czy też próba ukrycia obciążającego mnie w jakiś niezrozumiały sposób dowodu. W domu nic nie wiemy. Wieczorne walenie do drzwi. Koleżanka mojej siostry żartuje mówiąc do mamy: To po Panią! Niespodziewanie okazuje się że ma rację, przyszli po matkę w sprawie syna. Podwieziona „suką” na komendę na Malczewskiego zastaje mnie w pokoju z kapitanem, który ogląda w telewizji odcinek serialu dla młodzieży „Gniewko, syn rybaka”. Po wysłuchaniu pogawędki o „latających kulkach na ulicach mogących trafić synka w głowę” zobowiązuje się pilnować mnie, bym był grzeczny. „Czarny” uznany za prowodyra zostaje na „dołku” i wychodzi chyba dopiero następnego dnia.

Pojawia się pierwsza bibuła w pełnym tego słowa znaczeniu, kolejny powrót rosyjskiego самиздата. Otrzymany w zaufaniu tekst przepisujemy na maszynie w 5-7 kopiach na cieniutkich bibułkach (tzw. przebitka), i puszczamy dalej w obieg. Jest to sposób na

obejście stalinowskiej cenzury stosowany przez rosyjskich dysydentów już w Rosji lat 40-tych ubiegłego wieku. W samizdacie ukazywały się utwory Sołżenicyna, Bukowskiego czy Pasternaka i w końcu prasa niezależna. O ile dobrze pamiętam, na początku stycznia '82 pojawiają się pierwsze podziemne gazety: Tygodnik „Mazowsze” i „Tygodnik Wojenny”. Wydane na powielaczu wlewają w nasze serce nadzieję... „jeszcze Polska nie zginęła”! W związku z apelem władz podziemnych staramy się wszędzie chodzić z plecakami i dużymi torbami. Ma to utrudnić ZOMO-wcom odnalezienie prawdziwych kolporterów wśród wielu osób dźwigających duże torby i pakunki.

Mimo pierwszego niepowodzenia nie zaprzestaję fotografowania. Tym razem idę sam, jako że „Czarny”, leży powalony angina po nocy spędzonej w areszcie po ostatnim zatrzymaniu. Ubrany w wojskową kurtkę z podpinka tzw. „bechatkę”, mam pod nią wystarczająco dużo miejsca na schowanie aparatu fotograficznego. Przez szparę między guzikami wystawiam obiektyw, do kieszeni przeciągam wężyk fotograficzny. Wyruszam na miasto – siedziba Regionu „Mazowsze” na Mazowieckiej, Huta, Uniwersytet, czołgi, transportery, wojsko przy koksownikach. Rozzuchwalony skutecznością mojego maskowania robię zomowcom i wojskowym zdjęcia z paru metrów. W końcu docieram na wojskowe rogatki na Trakcie Lubelskim. Tu szczęście mnie opuszcza – fotografowany żołnierz, przeładowaniem Kałasznikowa i gestem daje mi do zrozumienia, że zostałem zdemaskowany. Jest 30 grudnia, po aresztowaniu ląduję na milicyjnej Izbie Dziecka, gdzie spędzam noc wśród małoletnich złodziei, prostytutek i uciekinierów z domu. W tym szemranym towarzystwie są też niewinne dzieci, które po prostu zgubiły się i czekają na rodziców. Do dziś pamiętam przerażoną małą, śliczną dziewczynkę, której rodzice zostali aresztowani. Muszę rozebrać się do naga przy milicjancie, a następnie czekać tak, aż dostanę do ubrania szare drelichy. Tak wyglądało wychowanie młodzieży i resocjalizacja à la PRL. Zakratowane okna, zamknięte sale, permanentny nadzór i spaceriak ogrodzony drutem kolczastym – jednym słowem więzienie dla dzieci. Na Sylwestra udaje mi się jednak wrócić do domu, znów moja dzielna mama zabiera mnie do domu. Tracę wtedy chyba drugi aparat fotograficzny, pierwszy zarekwirowano mi 17 grudnia. Tym razem dostaję wyrok w sądzie dla nieletnich – trafia pod nadzór kuratora i zostaje uprzedzony, że przy następnym „wybryku” dotychczasowe przewinienia dopisze mi się do wyroku. Starszy o dwa lata „Czarny” musi się tłumaczyć w sądzie, że był chory, nie wiedział o mojej wyprawie i nie jest prowodyrem.

W tym czasie w szkołach podstawowych zaczynają się pojawiać SB-cy, którzy wypytują dzieci z najmłodszych klas o to co robią ich rodzice. To jedna z tych podłości, której pojąć nie mogę do dziś.

„Czarny” od swojego kolegi, jednego z założycieli Międzyszkolnego Komitetu Odnowy oraz Federacji Młodzieży Szkolnej, Tomasza Sokolewicz, dostaje pierwsze profesjonalnie wydrukowane ulotki. Przedstawiają owłosione męskie narządy płciowe w czarnych okularach z podpisem „PRON-CIE wzywa” (PRON- Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego – „obywatelska” przybudówka WRON-u). Najpierw je rozrzucamy, potem widząc, jak wiele się marnuje wdeptanych w błoto, zaczynamy je kleić gdzie popadnie. Potem dowiadujemy się, że Tomek Sokolewicz został aresztowany za oblanie pomnika Feliksa Dzierżyńskiego walerianą, co ściągnęło koty z całej okolicy, które zbeczczyły pamięć „wielkiego” Czekisty. Tracimy dojście do ulotek. Kolejnym aktem nieposłuszeństwa jest malowanie haseł niepodległościowych i solidarnościowych na murach.

Chciałbym jednak od razu podkreślić różnicę pomiędzy tamtymi napisami, a wszechobecnym dziś graffiti. Oczywiście nie mam tu na myśli graffiti, które jako sztuka powstaje w harmonii i z poszanowaniem przestrzeni publicznej. Napisy niepodległościowe i opozycyjne na murach powstawały, gdy narzucona niedemokratyczna władza lub okupant

kneblowały społeczeństwu usta, niszcząc wolne media. Przekazując niepodległościową i społeczną treść stawały się one najprawdziwszą walką z obcą dominacją. Pod żadnym pozorem nie należy tej działalności zestawiać z dzisiejszymi koszmarkami grafficiarzy „bombardującymi” mury odnowionych zabytkowych kamienic. Takie graffiti to nic innego jak autopromocja „artysty” w jego własnym środowisku. W ten sposób pokazuje on swoim kolegom – „patrzcie jaki ze mnie kozak”. Takie graffiti to ani sztuka, ani przekaz - to zwykła destrukcja i wandalizm. W czasie okupacji hitlerowskiej za kotwicę Polski Walczącej namalowaną na ścianie, szło się na śmierć! Za komuny wyroki na szczęście były niższe, jednak i tak najczęściej szło się do więzienia. W tamtych czasach napisy na murach były niczym wywieszenie biało-czerwonej przed nosem okupanta! Powiem więcej - one były celnym strzałem w jego stronę. Na te akcje często chodziłem z Czarnym sprzężony jednym walkmanem z dwoma parami słuchawek. Pewnie dlatego do dziś muzyka Black Sabbath powoduje dreszcze emocji i przywołuje wspomnienia z akcji ulotkowych.



Od samego początku staramy się docierać do młodzieży :)

Pamiętam jedną z pierwszych robót na mieście. Idziemy z „Czarnym” na Nowy Świat. Jest ciemno, za chwilę godzina milicyjna, ulica pustoszeje. Mamy tak wielkie problemy ze zgęstniałą na mrozie farbą, że jeden z nas musi trzymać puszkę, drugi zaś maluje pędzlem twardym jak kołek. Trwa to strasznie długo, wtedy po raz pierwszy i ostatni maluję palcami. Tymczasem po drugiej ulicy w oknie pojawiają się jacyś ludzie z silną lampą, zupełnie jakby chcieli nam oświetlić

ścianę. Mam wrażenie, że to właśnie wtedy miał miejsce nieudany eksperyment z farbą zmieszaną ze szkłem wodnym, która miała być trudna do zamalowania. Jej recepturę bierzemy z którejś, wspomnianej wyżej, książki o AK. W okresie tym zapadam na chorobę czerwonych rąk i brudnego ubrania. Jest to nieuchronne następstwo wycieczek z otwartą puszką czerwonej farby. Choroba to powszechna wśród znajomych, różniąca się jedynie kolorem. Nie było na nią skutecznego lekarstwa, poza trudnym do zdobycia lakierem w spray’u. Był on jednak dostępny tylko w komisach i do tanich nie należał. Kiedy go już jednak zdobywamy pojawia się nowa technika malowania - szablony. Szablon ze starannie wyciętym napisem (np. logo Solidarności) przykładamy do ściany i malujemy sprayem. Tym razem czerwone są już tylko paznokcie. Niestety mokry od farby szablon sprawia pewne problemy w noszeniu przy sobie. Dlatego technikę tę dość szybko zarzucamy. Najgorsze było to że napisy te były łatwo usuwalne, a po zamalowaniu nie zwracały już niczyjej uwagi. Zupełnie inaczej jest z dużymi napisami na murach. Zamalowanie hasła politycznego należało do obowiązków administratora budynku lub dozorca. Osoby te bardzo szybko zorientowały się, że władzy wystarczy sam fakt przerobienia liter tak, by stały się nieczytelne. W ten sposób rozwija się nowy rodzaj sztuki ulicznej tzw. „bałwanki”. Skąd ta nazwa? Otóż pierwszą literą większości napisów, ze zrozumiałych względów była „S” – występowała bowiem w dwóch ważnych słowach: „Strajk” i „Solidarność”. Była to także litera największa, po pierwsze pierwsza, po drugie stres malujących nielegalne hasła był często na tyle silny, że litery, na początku wielkie i okazałe, w trakcie pisania miały naturalną tendencję do zmniejszania się. No i właśnie tę literę „S” „zamalowacze” zawsze zamieniali na cyfrę 8, a stąd do sylwetki „bałwanka” już był tylko krok – kapelusz, miotłka i trzecia główka były

częstymi atrybutami „bałwanków”. Dzięki temu obie strony były zadowolone. „Zamalowacze” oszczędzali sumienie, wysiłek i farbę, a my z radością patrzymy jak polskie miasta pokrywają się „bałwankami” – niezbitym dowodem oporu stawianego komunistom. A że napis nie jest do końca czytelny, cóż, i tak wszystko jest przecież jasne... zupełnie jak w autentycznej ulotce z końca lat 80-tych o wymownej treści „ulotka antypaństwowa”. Kiedyś nawet cieszyłem się, że mój napis został „zabałwankowany”. Było to w przejściu podziemnym na Placu Na Rozdrożu. Była tam piękna, długa na kilkanaście metrów śnieżnobiała ściana ze sztucznego marmuru – idealne tło pod hasła polityczne. Na samym początku Stanu Wojennego namalowaliśmy tam wielki napis „Solidarność”. Powstały napis natychmiast zamalowano szerokim pasem szarej farby. Po pewnym czasie władze postanowiły zrobić porządek i oczyścić całą ścianę, wzmagając ochronę przejścia patrolem milicji. Jestem prawie pewien, że była to pułapka na malarzy. Od tej chwili praktycznie co wieczór, chodziłem tamtędy wieczorem ze sprayem w kieszeni czekając na okazję kiedy „teren będzie wolny”. Pewnego dnia tak mnie zaskoczył brak milicjantów, że rozpocząłem pracę nie mając gotowej koncepcji. Walnąłem wielką „SOLIDARNOŚĆ”, patrzę a tu zostało jeszcze kupę wolnego miejsca, dopisałem „ŻYJE”, lepiej, ale wciąż mało... niewiele myśląc skończyłem słowami „A TY?” i szczęśliwy poleciałem do domu. Następnego dnia wszyscy znajomi się ze mnie wyśmiewali! Cóż, biorąc pod uwagę logikę i sens wypowiedzi nie wyszło mi to najlepiej. Na szczęście mój wstyd szybko skrył się pod „bałwankami”. Tak było już znacznie lepiej. Tym razem te naprawdę spore „bałwanki” przetrwały kilka lat. Odwiedzałem je regularnie, czekając czy nie pojawiło się wolne, czyste miejsce by akcją powtórzyć.

Ponieważ jestem pod nadzorem kuratora mama stwierdza, że na manifestację 1-go maja 1982 pójdę w... jej asyście. Pierwszy raz mam wtedy okazję zapłakać po zetknięciu się z gazami łzawiącymi. Z okolic Freta próbujemy przedostać się pod Katedrę. Bezskutecznie. Zaczyna się prawdziwa walka – barykady, kamienie, pałowanie, gaz i armatki wodne. Po łapance urządzonej na manifestantów przez ZOMO uciekamy na Plac Krasińskich. Od znajomych przez okno dowiadujemy się, że telefony, które komuna włączyła łaskawie kilka dni wcześniej, milkną ponownie. Dwa dni później jest manifestacja na Placu Zamkowym z okazji Konstytucji 3 Maja. Po nieudanej próbie dojścia pod Plac Zamkowy ewakuujemy się z mamą do znajomych na Bednarską i tam, pozornie bezpieczni, z pierwszego piętra obserwujemy milicyjne polowanie na ludzi. Chwilę później nie wierzę własnym oczom – milicjant stojący w wyłazie milicyjnej Nysy, jakby w zwolnionym tempie, celuje... strzela do mnie z miotacza gazu. Wystrzelony ładunek rozbija się na ościeżnicy okna kilka centymetrów od mojej głowy. Wtedy zrozumiałem, że ZOMO, stosując zasadę zbiorowej odpowiedzialności, strzelało do wszystkiego co się ruszało, nawet małych wygłądających przez okno. Potem dowiadujemy się, że ZOMO-wcy dla animuszu dostają przed akcją narkotyki. Po następnej manifestacji – było to chyba 11 listopada 1982, ląduję na błoniach pod Skarpą Warszawską, gdzie konnica z ZOMO, uzbrojona w szturmowe pałki, rozpoczyna polowanie na ludzi. Razem z tłumem biegnę w stronę jakichś drzwi u podnóża skarpy. Wpadam prosto w zbity ludzki tłum – okazało się, że to niewielkie pomieszczenie, które pęka w szwach od wpadających ciągle nowych uciekinierów, nie ma wyjścia! Jak szprotki w puszcze, bojąc się poruszyć, czekamy na aresztowanie. ZOMO-wcy nie zorientowali się jednak co jest w owym „śmietniku” - unikamy zapakowania do „bud” i wywiezienia na „dołek”.

Na porządku dziennym jest manifestowanie obywatelskiego nieposłuszeństwa: świeczki w oknie w rocznicę masakr robotników i bojkot TV. Na naszych ubraniach oraz szyjach wiszą miniaturowe znaczki Solidarności, orły w koronie i wreszcie genialny symbol niezależności – oporniki, podstawowy element układów elektronicznych. Co jakiś czas dyrektor mojego Technikum Kosiński urządza polowania na osoby noszące znaczki, ustawia nas w szeregu po czym po kolei wszystko nam zrywa – do kosza lecą jak leci - oporniki,

Krafwerk, Solidarność, ACDC, orzełki z koroną, Pink Floyd, wymowne CDN, TSA i inne. Skoro już o muzyce mowa to oczywiście jesteśmy jednym z wielu roczników wychowanym na piosenkach Kaczmarskiego-Gintowskiego-Łapińskiego (razem lub osobno). Do naszej obowiązkowej płytoteki (a właściwie taśmoteki) wchodziła twórczość Jana Krzysztofa Kelusa, Piotra Szczepanika czy wreszcie utworów katalońskiego barda Lluisa Llach'a (autora utworu L'Estaca pierwotnego „Murów”), nie tylko w wykonaniu Kaczmarskiego, ale także Zespołu Reprezentacyjnego. Niektórzy z nas mają szczęście pamiętać legendarny Przegląd Piosenki Prawdziwej w gdańskiej hali "Oliwii". Dla mnie największym wzruszeniem tamtych dni jest chyba zapomniany utwór „Przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał” Andrzeja Garczarka. Po wprowadzeniu Stanu Wojennego koncerty, podobnie jak i przedstawienia latającego teatru, odbywają się zarówno w prywatnych mieszkaniach, jak i obiektach sakralnych. W Warszawie na pierwsze miejsce wysuwało się w tamtych latach Muzeum Archidiecezji na Powiślu. Tutaj w Stanie Wojennym chodziło się na koncerty Gintrowskiego czy Szczepanika, niezależny teatr czy wystawy. To miejsce niesamowite – zapamiętałem je trochę jak kazamaty, w których przed komunizmem skryła się wolna Polska, czuć ją było tu w każdym zakątku. Władza ludowa oficjalnie nie ingerowała, choć z pewnością wysyłała tu wielu swoich „obserwatorów” i rejestrowała wszystko co było w stanie. Zarówno w Muzeum Archidiecezji, jak i w parafii św. Stanisława Kostki miało się wrażenie eksterytorialności, pozwalające oddychać pełną piersią. Przez pewien okres Innym miejscem gdzie chodziło się usłyszeć wolne słowo był warszawski Teatr Dramatyczny z całą plejadą aktorów polskich, z nieżyjącym już Gustawem Holoubkiem na czele.

Naszą młodzieńcza niepokorność kształtuje także polski rock lat 80-tych: Perfect, Kult, Lombard i inne. Do dziś pamiętam jak później, po Stanie Wojennym, biegaliśmy na koncerty Perfectu by bezkarnie wykrzyczeć i wyśpiewać „chcemy bić ZOMO”.

Niesamowite wrażenie robią praktyki odbywane w zakładach przemysłowych. Jako uczeń Technikum Lotniczego a potem student Politechniki Warszawskiej pracuję w Warszawskich Zakładach Mechanicznych, Państwowych Zakładach Lotniczych oraz Fabryce Samochodów Osobowych. Wszystkie te zakłady zostały w Stanie Wojennym zmilitaryzowane. Na wartowniach i w zakładzie pojawili się UB-cy, ZOMO-wcy a nawet komandosi z tzw. „Czerwonych Beretów”. Doskonale pamiętam euforię rodzącą się Solidarności w WZM w latach 1980-81. Rozbudzoną nadzieję tzw. odnowy szybko zastępuje nerwówka wywołana prowokacjami komunistów, jak wydarzenia bydgoskie i pobicie działaczy Solidarności z Janem Rulewskim na czele. Coraz częściej wybuchają strajki, zewsząd docierają plotki o rychłym wprowadzeniu stanu wyjątkowego... ale żeby od razu „wojenny”?! Do tego słowa długo nie mogliśmy się przyzwyczaić. 2 grudnia 1981 w trakcie praktyk w WZM dociera do mnie informacja o lotniczym desancie komandosów na Wyższą Oficerską Szkołę Pożarnictwa i pacyfikację tej uczelni. To było preludium Wojny Jaruzelskiej, a potem... potem była wojenna codzienność fabryce samolotów PZL na Okęciu (1982) i marazm połowy lat 80-tych w FSO. Oczywiście wszędzie gdzie mogę i przy każdej okazji rozklejam ulotki, z niektórymi robotnikami po kryjomu wymieniamy bibułę. Kiedyś w FSO z naszego niewinnego żartu zrobiła się poważna awantura polityczna. Wiecznym problemem w FSO był ciągły brak wody mineralnej, która w tajemniczych okolicznościach zniknęła natychmiast po przekroczeniu bramy zakładu. Woda, w ramach tzw. praw pracowniczych, była zagwarantowana wszystkim pracującym fizycznie, zarówno robotnikom jak i praktykantom. Wśród robotników krążyła plotka, że ktoś z Działu Zaopatrzenia robi na niej niezły interes. Gdy któregoś dnia zmachany kilkugodzinnym wytłaczaniem wewnętrznego płata drzwi do FIAT-a 125p, po raz kolejny natrafiłem na puste skrzynki po wodzie – wyłączyłem moja prasę, usiadłem i krzyknąłem dla żartu – STRAJK. Po chwili do niewinnego z pozoru żartu dołączyli się koledzy studenci. Nie przyszło nam do głowy, że ktoś

potraktuje nas poważnie. Tymczasem ściągnięto do nas Prodziekana z PW oraz kogoś z dyrekcji FSO, zaczęto rozmawiać z nami o naszych bolączkach i obiecano nam... wodę bez ograniczeń. Faktycznie od następnego dnia wody już nigdy nie brakowało, a robotnicy cmokali z zadowoleniem, że „studenty” w jeden dzień załatwili to, z czym oni mieli problem od zawsze. Mimo marazmu i beznadziei Stanu Wojennego i połowy lat 80-tych zawsze znajdziemy powód do świetnej zabawy na praktykach. W WZM hitem był suchy lód, który wrzucony do zbiornika z wodą zaciągał sina mgłą całe piętro budynku – nie widać było zupełnie nic. Fantastyczna zabawa było też podrzucanie bryłki lodu na języku (ostrożnie by się nie przykleił bo odchodził razem ze skórą) i chodzenie po zakładzie z kominem białego dymu wydobywającego się z ust. W PZL przekradaliśmy się do samolotów na tzw. „starcie” w których robiliśmy sobie przerwy śniadaniowe. Wszystko pod okiem strażników pilnujących sprzętu latającego jak oka w głowie, był to bowiem okres porwań samolotów w związku z ucieczkami Polaków za granicę. To prawdziwy cud, że nas nigdy nie złapano. Doskonałą zabawą w PZL były zawody w kategorii STRONG MAN, polegające na tym, że należało przepchnąć skład wagonów kolejowych na fabrycznej bocznicy. Po kolei zapieraliśmy się o podkłady i wywalonymi gałkami ocznymi, językiem do ziemi i czerwonymi z wysiłku twarzami próbowaliśmy ruszyć wagony. Kilka razy się udało. Problem był jednak taki, że takiego poruszonego składu już nie dawało się zatrzymać i najczęściej pozostawialiśmy go „zaparkowanego” w jakiejś bramie kolejowej lub na środku głównej arterii komunikacyjnej. W FSO dla odmiany wspaniałą zabawą było „pożyczanie” wózków akumulatorowych i meleksów na potrzeby nielegalnych wyścigów po zakładzie. Ech, trzeba przyznać że ułańska fantazja nas nie opuszczała – było to jednak odreagowanie tamtych smutnych dni, które w jakiś sposób łądowało nam akumulatory do poważnej działalności. Z FSO zapamiętam jeszcze jedno – najlepszy chleb świata, nałogowo wynoszony w ze stołówki do domu. Był to żytni chleb pieczony w... piekarni więziennej na Rakowieckiej. Jeden z lepszych jaki jadłem w życiu. Na wolności jednak smakował zupełnie inaczej. Chleb którym mnie karmiono w czasie zatrzymania na Izbie Dziecka obok Rakowieckiej był tak czerstwy, że drapał przetyk – smaku zaś wolę nie wspominać.

Tymczasem moja przydomowa drukarnia „gumkowa” cały czas działa. Było to proste i bezpieczne rozwiązanie pozwalające na druk ulotek natychmiast po przyjściu pomysłu do głowy. Nie było problemu z farbą, matrycami i transportem materiałów poligraficznych, a drukować można było na wszystkim, zarówno na przypadkowym papierze w domu, jak i na rozklejonych reżimowych plakatach. Już po kilku godzinach przygotowań efekt pracy pojawia się na ścianach, autobusach, moich ulubionych windach czy wreszcie w szkołach, od własnej „budy”, oczywiście, zaczynając.

Kończą się przymusowe ferie i wracam do szkoły. Indoktrynacja nauczycieli na lekcjach pod wymownymi nazwami „Przysposobienie Obronne” oraz „Przysposobienie do życia w rodzinie socjalistycznej” otwiera nam noże w kieszeniach. Do dziś pamiętam płk Potasińskiego, starego komunistę lejącego na nas antyamerykański i antysolidarnościowy jad – wciąż pamiętam jego opowieści z cyklu „ten nędzny aktor Reagan”. Radosny moment Stanu Wojennego – umiera Leonid Breżniew. Prezent od Opatrzności dla Polaków w wigilię Święta Niepodległości. Pamiętam, jak próbują nas w szkole zmuszać do oglądania relacji z pogrzebu. Szybko rezygnują jednak widząc, jak wielką radość sprawia nam widok trumny na ławeczce. Potem następują krótkie rządy Genseków: Andropowa i Czernienki, którzy umierają po kilkunastu miesiącach rządzenia. Kończy się pewna epoka. Przy tej okazji przypomina mi się jak namalowałem kiedyś od niechcenia pieczętkę na czystej recepcie lekarskiej. Wyglądała mniej więcej tak:

Był to niedokończony pomysł na ulotkę. Nadmienię na marginesie, że słowo „wewnętrzny” miało w tamtych czasach również złowieszcze znaczenie – stanowiło człon nazwy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, któremu podlegały SB i MO. Któregoś dnia w zamieszaniu, mój kolega myśląc, że to lewa recepta, doprowadził mi moje dzieło, wypełnił i ... usprawiedliwił sobie nieobecność. Nikt nie przeczytał pieczętki! Za karę musiał mi później pomóc zrobić skok na dziennik klasowy, by ten niebezpieczny dowód usunąć.

Pamiętam, że w tym czasie koledzy w szkole nadali mi ksywkę „ekstrem” – to w związku z reportażami komunistycznej TV o „ekstremistach” z Solidarności. Szybko sobie zdaję sprawę z tego że muszę się od tej dekonspirującej ksywki uwalniam i staram się nie rzucać więcej w oczy, moim mniej fraszobliwym kolegom.

Włączam się wraz z rodziną w akcję kupowania papieru, barwników i pasty BHP (podstawowy składnik farby drukarskiej) na potrzeby nielegalnych drukarni. Brak materiałów poligraficznych, a także obserwacja osób kupujących większe ilości powodują konieczność rozproszenia zakupów dokonywanych przez podziemie. W tajemniczy sposób wzmacnia się powszechny popyt na papier i pastę BHP, również wśród starszaków i dzieci. Kupowane z własnych środków materiały poligraficzne, przekazuje się tym samym kanałem, którym dostało się „bibułę”. Tą samą drogą przekazuje się pieniądze na działalność podziemna. Wraz z darami podaje się hasła, które jako potwierdzenie wpłat ukazują się w prasie podziemnej. W sytuacji gdy papier otrzymuje się z tak różnych źródeł, często zdarza się, że nakład jednego numeru gazety wychodzi na wielu gatunkach papieru, o różnych rozmiarach i odcieniach, czasami drukuje się nawet na papierze komputerowym z perforacją z lewej strony! Z braku barwnika czarnego powstawały farby o wielu odcieniach szarości, a nawet niebieskie, czerwone i zielone.

Regularnie bierzemy udział w odbywających się w Kościele Stanisława Kostki mszach za Ojczyznę, słuchając kazań kapelana Solidarności i Męczennika, ks. Jerzego Popiełuszki. Przez komunistyczną propagandę nazywane były one seansami i spektaklami nienawiści. Odegrały one kluczową rolę w budzeniu świadomości społecznej i niepodległościowej. Z czasem wokół parafii i samego księdza zaczyna zaciskać się pętla nienawiści komunistów, która w końcu doprowadza do narodowej tragedii. Po jednej z Mszy na Żoliborzu wracamy w grupie kilkunastu osób Alejami Ujazdowskimi. Koło Ambasady Amerykańskiej milicjanci w cywilnych samochodach rozpoczynają polowanie na nas. Nie pamiętam już dziś, kto kogo wtedy sprowokował – oni nas, czy na odwrót. Znów jak w 1981 uciekam przez park Ujazdowski, tym razem jednak jest ciepło, jeziorko widać wyraźnie a dziura w płocie ciągle czynna. Na ulicy Jazdów wpada na nas cywilny FIAT z milicjantami w środku. Przychodzi mi wówczas niezbyt mądry pomysł do głowy. Pomimo, iż mamy przewagę ilościową, mówię kolegom, by ukryli się w zaroślach, a sam z długowłosym, mogącym uchodzić za dziewczynę „Młodym” (Cezary Rautszko) udajemy parę i wchodzimy na łukowatą kładkę dla pieszych nad Trasą Łazienkowską vis-à-vis Zamku Książąt Mazowieckich. Milicjanci szybko dopadają nas, przygniatając samochodem do barierki. Po chwili wyskakujących milicjantów wraz z drzwiami wpychamy z powrotem do samochodu. Ja zaczynam uciekać po kładce, „Młody” wraca galopem z powrotem w stronę zarośli, gdzie skryli się nasi koledzy. Milicjanci natychmiast zaczynają pościg - za mną samochodem, za „Młodym” pieszo. Do dziś pamiętam mój cień, szybko rozszerzający się od zbliżających się świateł samochodu. Strach dodaje mi skrzydeł, biję życiowy rekord biegu na 100m i skoku wzwyż. Nie wiem jakim cudem przelatuję nad drutem kolczastym ogrodzenia zamku, rozrywając jedynie sztruksową marynarkę ojca. Tam już jestem bezpieczny – milicja nie

W najnowszym (z dnia 19 bm.) numerze „Tu i Teraz” felietonista tego tygodnika, JAN REM, pisze o jednej z najbardziej politycznych ambon w Polsce. Przedrukujemy ten felieton, aby mogli się z nim zapoznać również czytelnicy „Głosu Wybrzeża” zwłaszcza, iż stołeczna ambona, o której mowa, nie jest jedyną tego typu sakralną placówką w kraju.

(Red.)

W inteligentkiej części warszawskiego Żoliborza stoi kościół księdza Jerzego Popiełuszki — obok św. Brygidy w Gdańsku najbardziej reno-

mowanego Popiełuszki, które składa nadzwyczaj pilny bywalec tych imprez. Mowy tego polityka bardzo różnią się stylistyką od pokrewnych duchem

kościelne księdzę Popiełuszki urządzone są sensie nienawiści. Mówca rzuca tylko kilka zdań wybitnych sensu perswazyjnego oraz wartości informacyjnej. On wyłącznie steruje zbiorowymi emocjami.

Uczenie nienawiści politycznej do komunistów, do władzy, do wszystkiego co jest powojenną Polską przyniesione jest na tę salę przez bywalców, a pod dyktando księdza Popiełuszki przekształca się wewnętrznym robakiem dręczącym człowieka. Polityczne uczucia doznają publicznego wyładowania w tłumie podobnie czujących. Wyznawcy fanatyzowanego ks. Popiełuszki nie potrzebują argumentów, dociekań, dyskusji, nie chcą po-

serwujemy zalew faktów, argumentów, danych; same racje i rozumowania. Tymi sposobami można, owszem, ludzi przekonać. Nie sposób jednak wywołać żadnych emocji, zbudować wspólnoty uczuć i odruchów masowych, rozpolić masę w oparciu o zbiorowe przysięgi polityczne. Jest to z mojej strony konstatacja, a nie propozycja urządzania np. antyreaganowskich wściec, czy marszów ubarwionych paleniem kukły któregoś z naszych wrogów. Uważam za mądrą rezygnację z bogatszych środków politycznego oddziaływania, sądząc, że umiar i racjonalizm będą procentować na dłuższą metę, bo upióry, które Żoliborski magik polityczny wy-

cyficznie politycznego widowni, którym było spotkanie Mieczysława Rakowskiego z częścią załogi Stoczni im. Lenina w sierpniu 1983. Samo ustawiczne nawijanie do tej telewizyjnej relacji dowodził zapolierowania na elementy dramatyczne w polityce. Przerzucił zaś to, że rozmówcy wspominający ten spatek, nawet intelektualści, a przynajmniej zachwytem mówił wciął tylko i w kółko o rozchylanym koszu wicepremiera, o tym, że telewizyjny ekran pachniał potem, o palcu Rakowskiego, o tym czego, w jakim momencie nie powinien był krzyknąć, a co godziło mu się wykrzyknąć. Wszystko jest ważne i wyją-

Seanse nienawiści

wany klub polityczny w Polsce. Położenie geograficzne tej wieczerzy warto podkreślić. Tutajży genius loci klóci się bowiem z duchem przedświadczenia. Jest to bowiem leżące Żoliborz o tradycjach spódnicy, socjalistycznych, racjonalistycznych, społecznikowskich, lewicowych, w najgorszym razie lewo-sancjonnych, więc antyideologicznych i Młodzieżowych, te sięgnę do Gombrowicza.

Co tam więc robi natchniony polityczny fanatyk, Savona rola antykomunizmu? Daje on świadectwo ideowej i intelektualnej degeneracji części inteligentów formacji Żoliborskiej, dowodzi władzy tego Żoliborza, który przed wojną i przesadą nazywany był czystym, ale różowym był w każdym razie.

Mam bardzo dokładne relacje o treści kazań księdza Ja-

śki, jakby były głoszone na różnych latających uniwersytetach i petajających kursach naukowych. Na tamte intelektualne imprezy młodzi bieżą, aby usłyszeć od przeciwnego, niż na szkolnych lekcjach o Polsce i świecie współczesnym, poznac odmiennie fakty, odwrotne interpretacje. Ks. Popiełuszko nie zaspokajał niczyjej ciekawości, nie zapewniał płam historii, ani nie przeprowadzał politycznych przewodów, od których mózg staje, by odrzucić się w przeciwnym niż dotychczas, antysocjalistycznym kierunku. Jedynym słowem ten mówca ubrany w liturgiczne szaty nie mówił niczego, co byłoby nowe, lub ciekawe dla kogośkolwiek. Urok wieców, jakie urządza jest całkiem odmiennego natury. Zaspokaja on czyste emocjonalne potrzeby swoich słuchaczy i wyznawców politycznych. W

niawad, spierając się, zastanawiać i dochodzić do jakichś przekonań. Chodzi tylko o zbiorowe wyłanie emocji Ks. Jerzego Popiełuszko jest więc organizatorem seansów politycznej wścieklizny. Myślę, że bowiem Orwell, gdy sądził, że seanse nienawiści można urządzać poprzez telewizyjne emisje pobudzające emocje każdego z widzów osobno, w jego ciele-rech ścianach. Ludzie porzucali się na perswazje, argumenty i weruszenia, ale zbiorową nienawiść podniecać w sobie mogą tylko w tłumie. Charyzmatyczny stróż, który wodzi i przewodził, z tłumem wy różnił i wywyższał ponad masę ludzką, zapewniał ks. Popiełuszko przewagę nad słuchaczami, którzy nie trzeba wypracować.

Po drugiej, niż ksiądz Popiełuszko, politycznej stronie ob-

puszcza spod ornatu, same podychają. Myślenie ma przysłać, nie zaś podniecanie fanatyzmu. Lepsze są więc rzetelne tabele statystyczne otoczone powszechną obojętnością, niż uskrzydłone frazesy pobudzające płytkie emocje. Jaką liczbą ludzi nowoczesnych i rozumnych przecięt już dziś dla tego właśnie sympatyzuje z polityką PZPR, że raz ich krzykliwe pustostawie strony przeciwniej, mierzi zbiorowa historia i irracjonalny fanatyzm. Podobnie raz ich wyrażenie każda krzykliwość, czy objaw przesady, jaki zdarza się w naszej propagandzie. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę także ze strat, które na razie ponosimy przez to, że wśród lektorów KC brakuje natchnionych dyrygentów tłumami.

Przetwarzając i pouczając są dla mnie rozmowy, w których ludzie nawracają do spe-

kiem tych wieloletnich wo-

ków faktów i argumentów, jakże M. Rakowski przydawał na tę salę. Liczy się tylko to, co było widowiskową oprawą, najmniej liczą się racje. Jakże o to krew zalewać, ale także i racja.

Cóż z tego, że ks. Popiełuszko mierzi, skoro w dzisiejszej wykształconej Polsce polityczni magicy są wciąż skutocznymi. Podobnie: coś z tego, że nie istnieje nic takiego, jak ludzka dusza, skoro walka o władzę trwa realnie. Gdyby Telewizja Polska mogła mieć na swoje usługi jakiegoś Rasputina byłaby to niewątpliwie oferta do rozważania. Bardzo to smutne, ale prawdziwe, póki ma swoją klientelę ks. Popiełuszko i wściekłość, którą jego czarne nasyłki do których Mieczysław Rakowski był

Oszczerczy artykuł Jerzego Urbana atakujący Księdza Jerzego na kilka tygodni przed jego uprowadzeniem i zamordowaniem.

kwapi się wejść na teren budowy bez posiłków. Tymczasem „Młody” z goniącym go milicjantem wpada pomiędzy czekających kolegów. Sytuacja odwraca się i tym razem milicjant bije rekordy biegu na 100m.

Powstanie Federacji Młodzieży Walczącej. Współpraca z Grupami Oporu „Solidarni”.

Weszliśmy w Orwellowski Rok 1984. Na początku jest nas kilku: oprócz mnie, Artur Dąbrowski, „Młody” (Cezary Rautszko), „Kornela” (Tomasz Roguski). Niektórzy z moich kolegów działali przed 13 grudnia '81 w Federacji Młodzieży Szkolnej, Międzyszkolnym Komitecie Odnowy, Wolnym Konwersatorium Uczniowskim czy KIHAM (Kraj Instruktorów Harcerskich im.A.Małkowskiego). Federacja Młodzieży Szkolnej jest w tym gronie organizacją najstarszą, działającą prawdopodobnie jeszcze w 1979, kiedy to zaczyna wychodzić podziemny „Uczeń Polski”. Poznajemy się w 1984 roku podczas kolportażu i druku pisma „Bunt”, w wydawanie którego zaangażowani byli Artur Dąbrowski i Tomasz Roguski. Po kilku rozmowach dochodzimy do wniosku, że formuła FMS nie pasuje już do Polski „Jaruzelskiej” i postanawiamy powołać nową organizację. Formułą naczelną naszej organizacji ma być otwartość na poglądy polityczne, gospodarcze czy społeczne naszych członków, zaś celem nadrzędnym walka o niepodległość i zwalczanie komuny. Modyfikujemy nazwę FMS —u tak, by brzmiała bardziej „bojowo”. I tak, w czerwcu 1984 na „polance” na praskim brzegu Wisły powołana zostaje Federacja Młodzieży Walczącej. W

skład Komitetu Założycielskiego FMW wchodzi Artur Dąbrowski, Cezary Rautszko, Tomasz Roguski i Jacek Górski. Na „polance” byli z nami również bracia Wojtek i Michał Lewiccy oraz Maciej Brodacki, jednak koledzy ci po kilku dniach pożeglowali każdy w swoją stronę i nie kontynuowali działalności w FMW. „Czarny” miał pecha – był chyba na jakimś obozie harcerskim i przyłącza się do nas dopiero pod koniec wakacji. Ja w tym czasie kupuję pierwszy w życiu pojazd, sowiecki wojskowy K-750, ciężki motor z koszem, który odda mi nieocenione usługi w przyszłości.

Ustalamy zasady mające gwarantować bezpieczeństwo naszej organizacji. Pełna konspiracja oparta na wzorach AK-owskich. W naszym najbliższym środowisku nikt nie może wiedzieć co robimy. Nie ujawniamy się, nie udzielamy publicznie w naszych środowiskach, nie nosimy opozycyjnych znaczków. Naszym nadrzędnym celem jest skuteczne kłusanie czerwonego, rozwój Federacji (w tym naszej poligrafii) i jej ekspansja na całą Polskę.

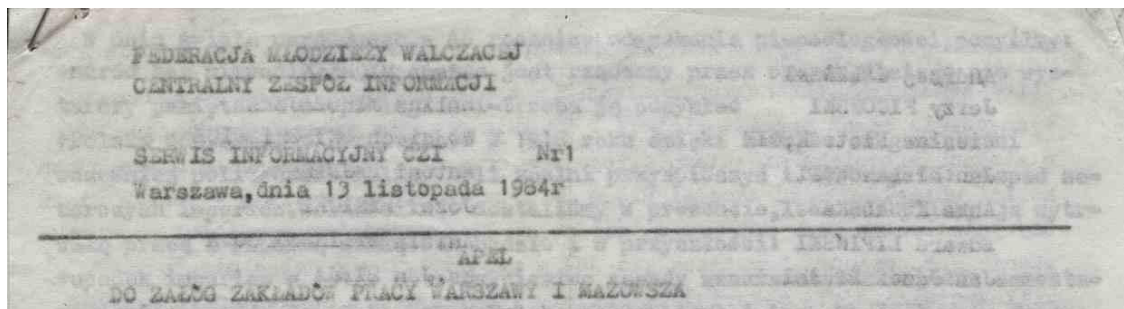
W sierpniu '84 powołany zostaje Centralny Zespół Informacyjny CZI, który pod wodzą Tomka Roguskiego „Kornela”, z udziałem „Marianka” Mariusza Kamińskiego, przygotowuje gazetę „FMW”. Już we wrześniu '84 zamieszczamy informacje o powstaniu FMW w 3 numerze praktycznie przejętego przez nas młodzieżowego pisma „Bunt”, który udostępnia swoje łamy Federacji Młodzieży Walczącej. Drukuje go na sicie wujek Wojtka Lewickiego w jakiejś zaprzyjaźnionej drukarni. W tej samej drukarni grzecznościowo drukowana ma być gazeta „FMW”, która miała wychodzić jako dwutygodnik. Niestety, tym razem współpraca kończy się zagubieniem w niewyjaśnionych okolicznościach gotowych już makiet do pierwszych trzech numerów. Po tych doświadczeniach wiemy już, że liczyć można tylko na siebie. Ponownie zaczynamy od „zera”.



Bunt nr 3, wrzesień 1984 z komunikatem o powstaniu FMW. Sitodruk, format A4, 2 str.

Następne komunikaty umieszczamy w „Tygodniku Mazowsze”, „Woli”, „Tu i Teraz” oraz Radiu „Wolna Europa”. Ciągłe mamy dużego pecha do poligrafii – ze względów bezpieczeństwa musimy się odciąć od jawnej przed ‘81 Federacji Młodzieży Szkolnej oraz powiązanego z nią „Buntu”.

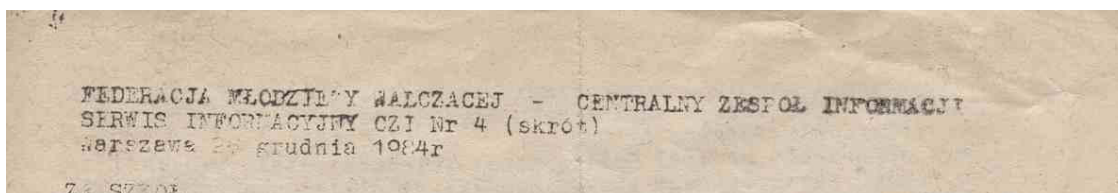
Opisów technik drukarskich szukamy w „Bibule” Józefa Piłsudskiego i wydanej pod ziemią książeczce „Mały Drukarz”. Inspiruje nas ponadto organizacja podziemnych drukarni Armii Krajowej, perfekcyjnie pokazana w książce Stanisława Jankowskiego „Z fałszywym Ausweisem w prawdziwej Warszawie”. Skoro już o tym mowa, to jest jeszcze jedna pozycja – „Wielka Gra” Aleksandra Kamińskiego. Podręcznik małego sabotażu napisany przez autora „Kamieni na Szaniec”. Wydany pod okupacją hitlerowską, decyzją KG AK, zostaje zniszczony w 1942 r. natychmiast po wydrukowaniu jako nazbyt dekonspiracyjny metody działania podziemia. Książka ta, swoisty biały kruk, ukazuje się nakładem Niezależnego Wydawnictwa Harcerskiego w 1983 roku. Podobnie jak w pierwszym wydaniu AK-owskim, sfalszowana została data wydania – tym razem na 1981 rok. Chodziło o to by nadać wydawnictwu pozory legalności, tak by nie budzić zainteresowania SB – bądź co bądź był to prawdziwy podręcznik sabotażu i walki zbrojnej. Robimy matryce z folii spożywczych: aluminiowej lub PCV. Wkręcało się taki wynalazek do maszyny wraz z gruboziarnistym papierem ściernym. W miejscu uderzeń czcionki pojawiały się otwory. Następnie na szybie kładło się nasączoną np. w tuszu flanelę, a na koniec plastrem przyklejało matryce. Teraz wystarczyło już tylko położyć czystą kartkę papieru, a następnie wałkiem fotograficznym wycisnąć z matrycy farbę wprost na papier. Na matrycy białkowej, spirytusowej lub ww. foliach zdeterminowani drukarze potrafili nawet wystukać większy napis lub rysunek (podobną techniką wykonano winiety pierwszych gdańskich „Monitów”). Maksymalny nakład to ok. 100 egzemplarzy. W przypadku stosowania powielaczy białkowych nakład zwiększa się kilka-, kilkunastokrotnie.



Serwis Informacyjny CZI FMW nr 1, 13 listopada 1984. Typowy „samizdat”, przebitka, format A4, 6 str.

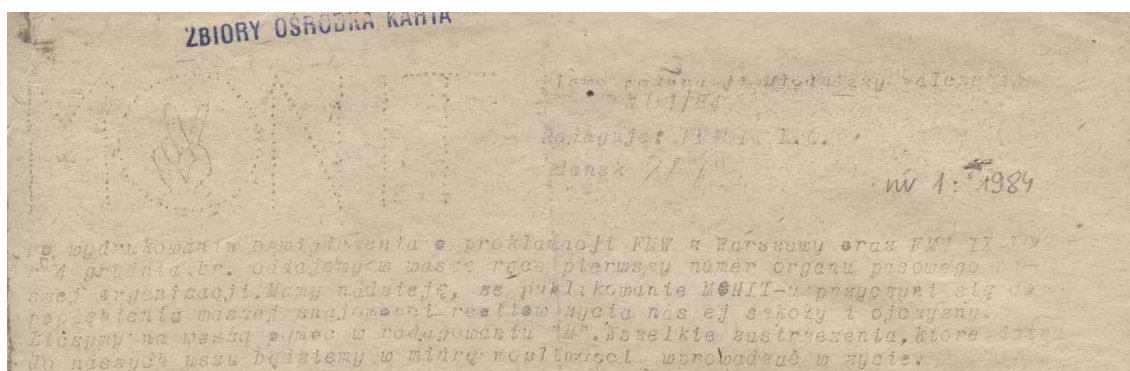
Od 13 listopada '84, po kilku nieudanych eksperymentach z ramką, matrycami białkowymi, czy własnoręcznie tworzonymi matrycami na foliach PU i aluminiowych, w miejsce „zaginionego” pisma „FMW” doraźnie wydajemy „Serwis Informacyjny CZI FMW”. Jest on drukowany i kolportowany, sprawdzoną na początku Stanu Wojennego, niskonakładową, samizdatową metodą „przeczytaj, przepisz i podaj dalej”. Dzięki temu nasi czytelnicy włączają się w działalność opozycyjną, a jak wiadomo nic tak nie jednocy jak wspólny cel. Pierwsze numery „Serwisu” (na pewno nr 1 i 2) „stukane” są przez moją starszą siostrę Agnieszkę Górską (obecnie Dzikowską) na maszynie do pisania, a następnie trafiają do innych „przepisywaczy”. Dla bezpieczeństwa maszynę stawia się na kocu, wszystkie szpary w drzwiach szczelnie zatyka, tak by żaden dźwięk nie przedostał się na klatkę schodową. Wydajność tej pracochłonnej metody to jednorazowo 5-7 marnych kopii (oryginał, umożliwiający identyfikację maszyny do pisania, ze względów bezpieczeństwa jest niszczone). Łączny nakład to maksimum kilkadziesiąt egzemplarzy. Dziś takie nieliczne, cudem zachowane przebitki budzą wzruszenie – podobnie jak ulotki odbijane na gumie.

pokazują one jak ciężko było wydać cokolwiek poza oficjalnym obiegiem. Kilka lat później, kiedy mieliśmy dostęp do sitodruku czy wysokowydajnych powielaczy, trudno było nam uwierzyć jak trudne były początki. Zaś dziś... cóż w dobie Internetu tamta pionierska działalność wydaje się wręcz szaleństwem.



Serwis Informacyjny CZI FMW nr 4, 26 grudnia 1984. Białko, format A4, 2 str.

W 1984 roku wychodzą co najmniej 4 numery „Serwisu Informacyjnego CZI FMW”, z tym, że grudniowy nr 4 i następne drukowane są już na matrycach białkowych rozciągniętych na ramce. Ostatni 8 nr ukazał się w maju 1985 r. Matryce przygotowuje, polecona przez „Czarnego”, Iza Makowska. Niestety, matryce białkowe starczą jedynie na kilkaset egzemplarzy i szybko nam się kończą. Nasza pierwsza drukarnia („Seksja Poligraficzna FMW”) znajduje się w mieszkaniu „Młodego”, jednak dość szybko musimy się ewakuować. Któregoś dnia odnajdujemy roztrzaskane ramki pod jego oknem. Jesteśmy przekonani, że na górze jest kociół UB-cki i że „Młodemu” w ostatniej chwili udało się wywalić ramkę przez okno. Zbieramy trefne resztki z chodnika i zaczynamy szykować się do nieuniknionej rewizji. Tymczasem okazuje się, że ramka wyleciała przez okno, w wyniku kłótni „Młodego” z ojcem. Ten przekaz był wyjątkowo czytelny. Musimy szukać nowego lokalu. Pokój „Młodego” był rozpaczliwie mały, miał kilka metrów kwadratowych, zaś my z naszym bałaganem byliśmy wyjątkowo uciążliwym lokatorem.



Monit nr 1, grudzień 1984. Białko, format A4, 2 str.

Wliczając wrześnieowy numer „Buntu”, Serwis Informacyjny CZI jest jednym z trzech pierwszych tytułów wydanych przez Federację Młodzieży Walczącej. Zainspirowane komunikatem z Radia Wolna Europa o powołaniu przez nas Federacji Młodzieży Walczącej powstaje gdańskie FMW skupione wokół IX LO, a wraz z nim w grudniu '84 pismo „Monit”. Szczęście nasze nie zna granic – obie grupy, gdańska i warszawska, zaczynają działać niezależnie, szukając do siebie kontaktu.

Początki są trudne. Jesteśmy małolatami bez kontaktów z „dużym” podziemiem, do wszystkiego musimy dochodzić sami. Ma to też swoje plusy – jesteśmy całkowicie nową opozycją i stosunkowo zamkniętym środowiskiem. Nasze struktury opierają się na kontaktach przyjacielskich. Rodzice patrzą z lękiem na nasze przyspieszone dorastanie z lękiem, nieczęsto ułatwiają nam zadanie. Często słyszymy że nauka jest równie ważna jak konspiracja. Nie mamy kontaktów w zakładach pracy, dojść do drukarni, technologii, materiałów i fachowców.

Tymczasem cały nasz wysiłek skupia się na znalezieniu dojścia do drukarni lub pozyskaniu sprzętu. W trakcie próby odkupienia ze złomu starego powielacza białkowego okazuje się, że muszę się wylegitymować. Rezygnujemy z wykradzenia tego powielacza, jako że kierownik złomu obserwuje nas uważnie, poza tym znajomy „specjalista” stwierdza, iż w ramach złomowania sprzęt został poważnie zniszczony. Pamiętam też wzmiankę z prasy reżimowej o zatrzymaniu Mirosława Chojeckiego, twórcy Niezależnej Oficyny Wydawniczej „Nowa” za „kradzież” powielacza ze złomu. Stwierdzamy, że nie tędy droga do własnej poligrafii. Problem drukowania rozwiązuje się dopiero po poznaniu Adama Golańskiego, o czym będzie później.

Jedną z pierwszych wspólnych akcji malowania napisów – „Czarny”, Artur Dąbrowski i ja. W pewnym momencie słyszymy za plecami chłodny głos Artura – „Uwaga! Psy...” – serca podchodzą nam do gardeł. Po chwili Artur, śmiejąc się z nas do łez, kończy czytanie tabliczki na klatce schodowej „...wyprowadzać tylko na smyczy!”

Październik ’84. Natychmiast po porwaniu ks. Jerzego Popiełuszki zaczynamy działać w służbie kościelnej w Parafii Św. Stanisława Kostki. Pilnowanie kościoła przed UB-kami i czekanie na jakikolwiek sygnał o ks. Jerzym. Wreszcie koszmarna informacja przekazana przez DTV (Dziennik Telewizyjny) – niewyobrażalny ból w sercu i powracające pytanie – Jak oni mogli zrobić coś tak potwornego.

Przed pogrzebem Mateusz „Matys” Mróz wraz z Leszkiem Chorzewskim z Grupy Oporu Solidarni otrzymują zadanie powieszenia na wieży kościoła św. Stanisława Kostki olbrzymiej biało-czerwonej flagi liczącej kilkanaście metrów. W trakcie walki na wysokości kilku pięter z ciężkim rulonem płótna, w pewnym momencie dochodzi do przerwania flagi na szwie łączącym oba kolory flagi narodowej. Ku przerażeniu chłopaków miotających się na szczycie wieży pęknięcie natychmiast się rozszerza i znika na dole dzieląc flagę na pół. Jednak po kilku metrach materiał przestał pękać – rozdarcie szczęśliwie skończyło się po kilku metrach tworząc jakże symboliczną biało-czerwoną „V-kę”



Pogrzeb ks. J. Popiełuszki (fot. Mieczysław Michalak)

Pełnimy warty przed symboliczną tablicą z wielkim zdjęciem Ks. Jerzego. Mimo przenikliwego zimna musimy się rozbierać w czasie tych dyżurów – taki żar bił od świec i zniczy, które ciągle przynosili ludzie. Do naszych obowiązków należy też regularne, 24-godzinne pilnowanie płotu parafii. Chodziło o to, by SB-cy nie przedostali się do środka i nic nam nie podrzucili, lub nie zrobili jakiejś prowokacji. Ludzie zapadają na swoistą psychozę. W każdym podjeżdżającym samochodzie widzą SB-ków. Pamiętam jak kiedyś musiałem bronić dobrego imienia ludzi, którzy podjechali zabytkowym samochodem Willys MB z drugiej wojny światowej. Dla starszych ludzi pilnujących kościoła, poddanym straszemu

stresowi tamtych dni, sprawa była zero-jedynkowa, „gazikami” jeżdżą SB-cy! W czasie służby na terenie parafii św. Stanisława Kostki poznaję Adama Golańskiego, drukarza KOS-a, który zaoferował nam pomoc w wydaniu gazety. Na Żoliborzu przyłącza się do nas jeszcze kilka osób, w tym Monika Szewczak, późniejsza żona Adama Golańskiego. Jesteśmy na Żoliborzu dzień w dzień, aż do pogrzebu Ks. Jerzego.

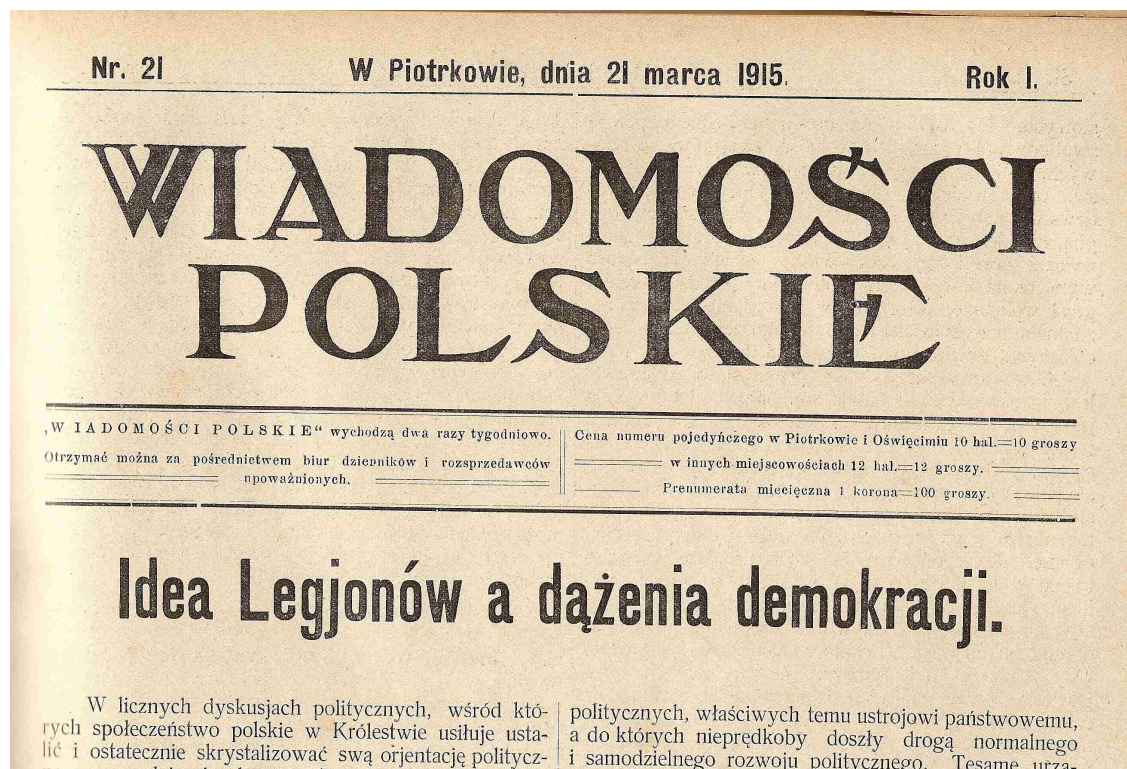
Mówi się, że na pogrzebie było ok. miliona osób – jesteśmy na terenie wewnętrznym kościoła więc tłumów tych nie widzimy. Znowu kończy się pewna epoka...

Poprzez Katarzynę Kołodziejczyk nawiązujemy kontakt z Henrykiem Wujcem z Regionu Mazowsze. Kontakty te natychmiast owocują udzieleniem nam nieocenionej pomocy. W kawiarni przy placu na Rozdrożu spotykam się z kimś z „góry” Konfederacji Polski Niepodległej (prawdopodobnie był to Andrzej Szomański), dostajemy propozycję przekształcenia się w młodzieżówkę KPN – wolimy jednak iść dalej własną drogą.

W domu Adama spędzamy Sylwestra 1984. Konspiracja konspiracją – czasami musimy się jednak rozerwać, zapominając o zdrowym rozsądku. Na zabawę idę przebrany w oryginalny sowiecki mundur wojskowy, wymienionego przez Artura Dąbrowskiego z Rosjanami za wódkę. Nie pamiętam w jaki sposób mundur ten dostał się w ręce SB, stał się on jednak bohaterem reportażu o pobiciu rosyjskiego żołnierza, którego „młodociani przestępcy” okradli z broni i munduru. Temat ten często przewijał się potem na przesłuchaniach bliższych i dalszych znajomych wraz z pytaniami o „Jacków” (tak mówiono na mnie i „Czarnego”). Dla Ubeków od początku stanowimy poważny problem. Nie jest łatwo bowiem wprowadzić między nas agentów, którzy zdobyli by nasze zaufanie. Struktury nasze opierają się na szkolnych przyjaźniach, a nasza determinacja nie jest jeszcze osłabiona lekiem o dzieci, czy zobowiązaniami rodzinnymi. Nie jest łatwo nastraszyć nas utratą pracy czy utratą mieszkania, bo to wartości jeszcze w pewnym sensie abstrakcyjne dla młodych ludzi.

Tymczasem u Adama poznajemy możliwości sitodruku, który po doświadczeniach z rwącymi się matrycami białkowymi był dla nas szczytem techniki. Lubiłem drukować u Adama. Miał samodzielne mieszkanie, jego rodzice mieszkali po drugiej stronie studni w starej mokotowskiej kamienicy. Swoboda nieporównywalnie większa niż u Czarka Rautszko, gdzie powstawał „Bunt” i pierwsze ulotki. Tam non-stop musieliśmy się barykadować w jego pokoju, starając się ukryć ramkę przed jego rodzicami. U Adama mamy do dyspozycji wielkie mieszkanie i co najważniejsze bardzo dobry sprzęt grający! „Nasze Wiadomości” powstają nie tylko przy dźwiękach Kaczmarzkiego i Łapińskiego, ale również „Dire Straits”, „King Crimson”, „Genesis” i „Marillion”. Nigdy później nie mieliśmy już takiego komfortu jak u Adama. Drukujemy w bardzo wielu miejscach, jednak „najzabawniej” jest na Żelaznej, w mieszkaniu pewnego robotnika z Zakładów Mechanicznych „Nowotki”. Jest to kilkunastometrowa klatka z przepierzeniem z szafy, tworzącym coś w rodzaju kuchni – tam pracujemy. Wspólna dla całego piętra łazienka znajduje się na korytarzu, toteż mycie sita i sprzętu dostarcza wielu niezapomnianych wrażeń. Jakby tego nie było dość, nasz uroczy gospodarz znienacka upija się, po czym za przepierzeniem w rytm naszej drukarskiej roboty uprawia radosny seks ze ściągniętą nie wiadomo kiedy „koleżanką”. Cienkie ściany niczym mikrofon przenosiły na korytarz każdy szelest, zarówno stukanie sita jak i odgłosy aktywności naszego gospodarza. Najwięcej emocji dostarcza wyprawa z sitem do łazienki. Już otwierając drzwi mieszkania w środku nocy byliśmy pewni, że rzuci się na nas UB-cja niechybnie zwabiona naszą orkiestrą. Wszystko odbywało się przy okrutnym akompaniamencie skrzypiącej podłogi i drzwi oraz ryczącego kranu z zimną wodą (cieplej oczywiście nie było). Czasami pod drzwiami ustawiała się kolejka osób czekających „za potrzebą”. Byliśmy tam tylko raz, uciekliśmy jakby nas gonił cały oddział ZOMO. Przejmujemy kilka opuszczonych piwnic w domu robiąc w nich magazyny materiałów

poligraficznych. Dzięki temu, że nie były one w żaden sposób powiązane z numerem mieszkania, SB-kom nigdy nie udało się ich znaleźć. Wraz z „Kornelem” (Tomasz Roguski) szykujemy pierwszy numer „Naszych Wiadomości”. Tytuł i szata graficzna wywodzi się z legionowego pisma „Wiadomości Polskie” wychodzącego w Cieszynie, a później w Piotrkowie latach 1914-1919, jednej z niewielu pamiątek po moim dziadku. Mając za sobą naukę rysunku technicznego projektuję winietę Naszych Wiadomości oraz pisane „solidarycą” logo FMW. Do winiety dla powagi dokładam PRL-owskiego orła (jedyne, jaki był w moim zasięgu), którego oczywiście koronuję. W czasach gdy nie było komputerów, wykonanie każdej litery w warunkach polowych to osobne dzieło. Jedne są kreślone ręcznie rapitografem, inne wyklejam z tzw. kaligrafów - kompletów naklejek z czcionkami. Makietą powstaje w moim mieszkaniu na Grochowie. Chowam ją pod kołdrą za każdym razem, gdy ktoś dzwoni do drzwi, lub gdy zbliża się mama. Ku mojemu przerażeniu w pewnym momencie siada na łóżku na prawie już ukończonej makiecie, by ze mną „poważnie” o czymś porozmawiać. Makietę na szczęście dało się odratować. Artykuły przepisywane są na mojej starej maszynie Optima. Problemem jest jednak jakość druku. Maszyna jest już wyklepana, a oddanie jej do naprawy nie wchodziło w grę – ktoś mnie ostrzegł że zakłady miały obowiązek ewidencjonowania próbek pisma naprawianych maszyn, co później ułatwiało SB wykrywanie podziemnych drukarni. Z tego powodu zawsze należało niszczyć oryginał, na którym zachowywały się wszystkie cechy szczególne czcionek. Potem udało nam się zdobyć doświadczenie do elektronicznej maszyny głowicowej IBM – tekst był śliczny i wyraźny jak z rządowej drukarni.



Legionowe pismo „Wiadomości Polskie” z 1915 r., pierwowzór „Naszych Wiadomości”.

Z uwagi na szatę graficzną i duży format „konkurencja” nazywała nasze pismo „Dziennikiem Urzędowym”. Trafili w sedno – naszą intencją było nadanie pismu wszelkich cech legalności – już sama winieta miała być demonstracją naszej walki o wolność i niepodległość. Zachłysłnąwszy się możliwościami sitodruku próbujemy sił z grafiką – na

pierwszy ogień idzie reklama sowieckiego radia VEF206 (idealnego do słuchania Wolnej Europy), która jest prawdopodobnie pierwszą w podziemiu reklamą o charakterze



Nasze Wiadomości nr 1, 23 lutego 1985. Sitodruk, format A4, 4 str.

marketingowym. Przygotowuję również kilka karykatur – wszystkie moje rysunki podpisywałem małym krzyżykiem, umieszczonym najczęściej w górnym prawym rogu. Data wydania 1 numeru Naszych Wiadomości nie jest przypadkowa – 23 lutego to urodziny Adama. Należał mu się ten prezent za to, co dla nas zrobił.

W lutym 1985 Federacja Młodzieży Walczącej po raz pierwszy formalnie zaistniała na politycznej mapie Polski – obok kilkudziesięciu organizacji podziemnych podpisujemy tzw. „Apel Jałtański”, skierowany do sygnatariuszy ustaleń jałtańskich, rządów Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, a także społeczeństw tych państw i narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Sygnatariusze „Apelu Jałtańskiego” zaznaczając, iż nie kwestionują granic państwowych w powojennej Europie, domagali się rewizji postanowień jałtańskich w duchu karty narodów ONZ, tj. przede wszystkim prawa narodów do wolności i samostanowienia.

W 1985 sitodruk był szczytem poligraficznych możliwości. Z wykonanej z wielką starannością przez redakcję „Naszych Wiadomości” makiety, zaprzyjaźniony zakład fotograficzny wykonuje tzw. „diap” (diapozytyw), czyli przezroczystą fotografię makiety. Następnie na ramce, obciągniętej specjalną tkaniną drukarską („sito”), aluminiową „rynienką” rozprowadza się cieniutką warstwę emulsji światłoczułej. Po jej wyschnięciu, do „sita” na styk przykładamy „diap”, po czym naświetlamy go lampą kwarcową. Przy tej okazji sami korzystamy z lamp, opalając się na heban w oczekiwaniu na zakończenie procesu. Ja osobiście przypłacam to poparzeniem, dwadzieścia minut kwarcówki to zbyt wiele jak na pierwsze opalenie, a może po prostu zapomniałem przyłożyć „diap” również do siebie. W wyniku światła lamp emulsja utwardza się, za wyjątkiem miejsc przysłoniętych czarnym drukiem z „diapa”. Po zakończeniu naświetlania nieutwardzoną emulsję wypłukuje się prysznicem w wannie. W nieutwardzonych miejscach, powstają mikro otworki, przez które „rakłą”, szeroką gumową szpachlę obsadzoną w drewnie, przeciskana będzie farba drukarska. Tak przygotowane „sito” specjalnymi zawiasami przykręca się do masywnego stołu. Do haka na suficie przywiązuje się gumę, która unosząc „sito” do góry, po każdym przeciągnięciu rakli, ogranicza ilość niezbędnych drukarzy do dwóch osób. Jeden z drukarzy oburącz macha

„rakłą”, drugi musi nadażyć z wyciąganiem już wydrukowanych egzemplarzy z wierzchu ryzy papieru, leżącej na stole bezpośrednio pod sitem. W sprawności „odbierającego” – absolutnymi rekordzistami była Iza Makowska i Robert Napiórkowski z czasami dwudziestu kilku minut na ryżę. Na końcu rankingu był nazbyt dokładny „Czarny” no i „Wiejski”, który głupimi dowcipami uwielbiał rozpraszać drukującego. W trakcie drukowania pewna część nakładu jest nieczytelna wskutek złego nacisku rakli czy np. pofalowanego wskutek wilgoci papieru. Takie wadliwe egzemplarze, tzw. „zbuki” czy „dzbuki”, zgodnie z zasadami konspiracji należało skutecznie niszczyć.

Osobne zagadnienie to przygotowanie farby. Podstawowym jej składnikiem jest kupowana w plastikowych puszkach pasta Komfort, którą w awaryjnych sytuacjach zastępujemy gorszą pastą BHP. Jak głosi plotka, komuniści świadomi do czego służy pasta BHP, zaczynają dodawać do niej piasek. W takiej sytuacji, by uniknąć zniszczenia „sita”, całą pastę BHP wstępnie przecieramy przez poświęcone na ten cel małe „sito”, a dopiero potem mieszamy z barwnikiem, np. do farby malarskiej. Przywożone potajemnie z zagranicy „sita” są wielorazowego użytku i trzeba o nie dbać jak o prawdziwy skarb. Oczywiście są pasty lepsze i gorsze - zdarzają się też takie które stanowią bazę farby bez przecierania. Po pewnym czasie pasta komfort zostaje wyparta przez klej do tapet. Klej ten po rozrobieniu zostawia się na kilka dni w celu „dojrzenia”, w wyniku czego traci własności klejące stając się przezroczystą gęstą galareta, z której po dodaniu pasty Komfort (ok. 1/4 objętości) i barwnika powstaje gotowa farba.

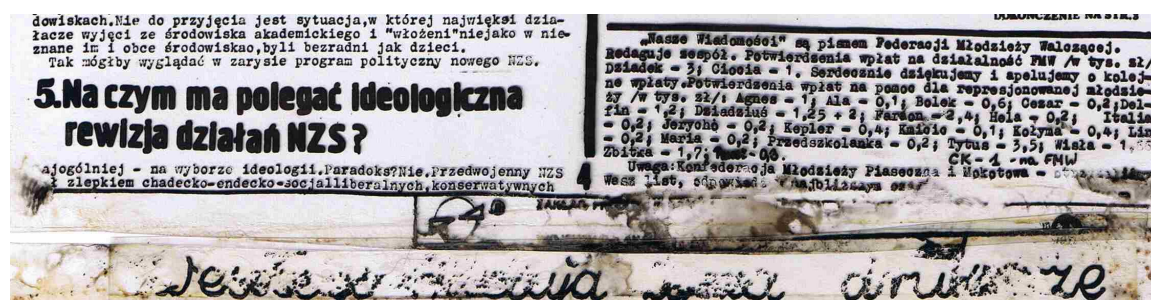
VEF206 to supernowoczesne
radio produkcji ZSRR



Tylko VEF206 zapewni Ci czysty i niezakłócony odbiór Wolnej Europy i innych!
Demonstracja i sprzedaż w punktach firmy ZURT **6 zakresów fal krótkich za jedyne 5000 złotych!**

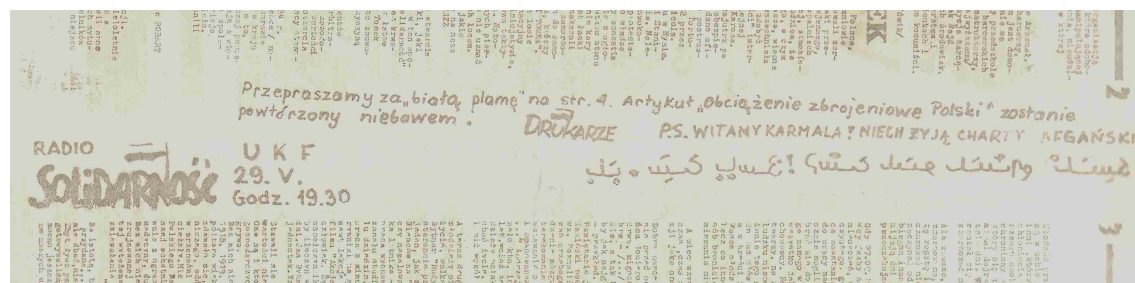
Jedna z pierwszych reklam w prasie podziemnej, informująca o zaletach radia VEF206.

I tak w podwójnej konspiracji zaczynamy drukować NW. Oprócz SB, musimy się kryć przed właścicielami drukarni tj. KOS-em (początkowo przeciwnym zwiększaniu ryzyka wpadki przez wpuszczenie do profesjonalnej drukarni nieznanych „małolatów”). Potem koledzy z KOS-a zaakceptowali naszą chałturę i dalej udzielali nam już nieocenionej pomocy (Zbigniew Mazurczuk „Krasnal”, Tadeusz Wiackiewicz – wielkie dzięki za Wasze wsparcie).



Zachowane diapozytywy Naszych Wiadomości. Dopiski drukarzy „Wesołego Alleluja życzą drukarze” oraz sygnaturka drukarni na ostatniej stronie. Widoczne typowe dla prasy podziemnej potwierdzenia wpłat od czytelników.

Razem z Adamem nawiązujemy swoisty dialog z czytelnikami uznając że wszelkie niezadrukowane marginesy należą do nas. Tam też przy każdej możliwej okazji pojawiają się nasze wpisy, zarówno poza zasięgiem cenzury jak i samej redakcji, która z pobłażaniem patrzyła na te nieczne praktyki. Był to sposób na przekazywanie wiadomości z ostatniej chwili – po kilkunastu godzinach od pozyskania informacji, trafiały do pierwszych czytelników. Diapozytywy do tej „drukarskiej” twórczości, kreślimy bezpośrednio na foliach, i doklejamy do właściwego diapozytywu.

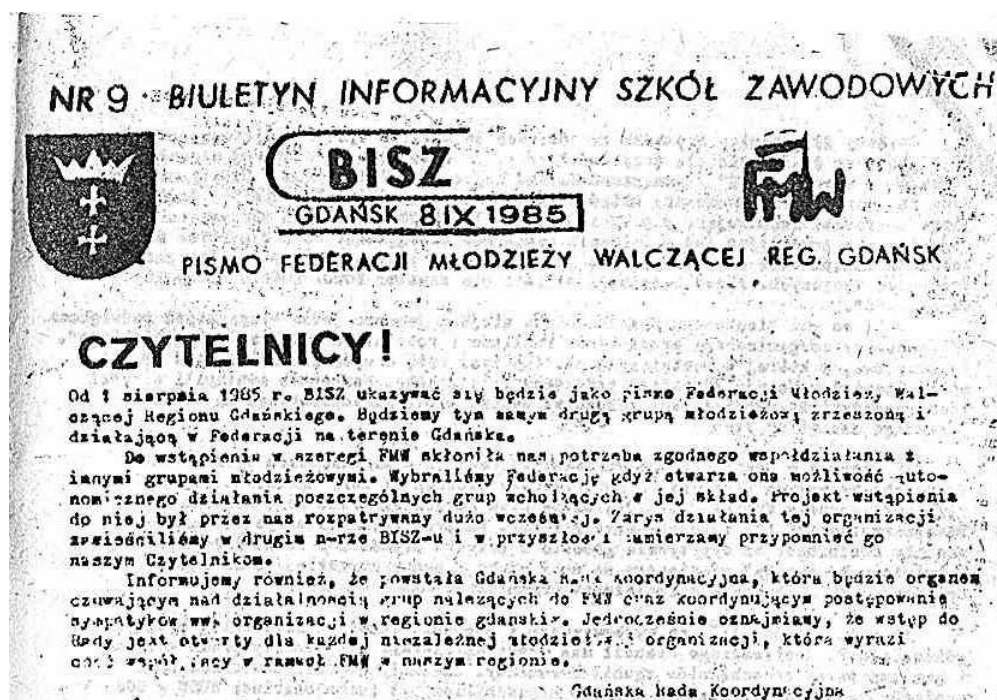


Kolejny przykład drukarskiej „samowoli”, wciśniętej pomiędzy szpalty tekstu – komunikat z ostatniej chwili o audycji Radia „S”, przeprosiny za usterki w druku oraz młodzieżowe „pозdrowienia” dla komunistycznego watażki z Afganistanu, Babraka Karmala przebywającego właśnie z przyjacielską wizytą w PRL (wtedy wydawały nam się zapewne dowcipne). W tamtych czasach arabskie litery nie kojarzyły się nam z terroryzmem, lecz bohaterskim Afgańskim Ruchem Oporu.

Po kilku miesiącach działalności udaje się nam nawiązać kontakt z Gdańskiem. Z tamtych czasów pamiętam doskonale Błażeja Drózdza i „Krawca” (Darek Krawczyński). Na pierwszą wyprawę do Gdańska wyruszam motocyklem prosto z bliskiego memu sercu Mrągowa. W Mrągowie bowiem poznaje miłość mojego życia, Olę, z którą niestety los mnie rozdzieli na długie lata. Odległość, wrodzona nieśmiałość, niedopowiedzenia, życiowe wybory i wreszcie niebezpieczeństwo wynikające z pobicia mnie w 1986 roku przez „nieznanych sprawców”, przerwą tę nigdy nie wyznaną miłość. „Kropkę nad i” postawi emigracja całej rodziny Oli z komunistycznej Polski w 1987, w wyniku czego nasze kontakty urwą się aż do dnia, kiedy odnajdę Olę na Naszej Klasie - równo 22 lata później! Wtedy też Ola doczeka się wreszcie odpowiedzi na swój list z przed lat! Nasze spotkanie po blisko

ćwierci wieku przerodzi się w żywiołowy i trudny do opisania wybuch miłości zakończony ślubem w październiku 2008 .

Z Gdańska do Warszawy wracam z koszem pełnym „kontrabandy”, obawiając się kontroli Milicji, która bardzo często interesowała się starymi motocyklami. Od tej pory zaczynają się regularne podróże pomiędzy Gdańskiem a Warszawą, motocyklem, pociągiem, czym się da. Wszelkie komunikaty uzgadniamy i podpisujemy już razem. W sierpniu 1985 przyjazd kolegów z Gdańska na pielgrzymkę wykorzystujemy do zorganizowania dla przyjaciół szkolenia z sitodruku, które odbywa się w domu Adama „Barona” Golańskiego. Kilka dni później integrujemy się na Warszawskiej Akademickiej Pielgrzymce na Jasną Górę. Klimat tamtych pielgrzymek to uduchowienie wymieszane z manifestacją patriotyczną. W Częstochowie pełno transparentów o treściach opozycyjnych, a po zakończeniu uroczystości kościelnych pojawiają się ulotki i skandowane hasła solidarnościowe. Podstawę wyżywienia na pielgrzymce stanowi pomarańczowy ser w blokach z tzw. zrzutów, podobny był do dzisiejszego „Mimolete”. Mimo biedy panującej w ówczesnych sklepach, już po kilku dniach mamy go dość, nadając mu przydomek „Zemsta Reagana”. Wieczorami regularnie grzeszymy – słowa pielgrzymkowej piosenki „pytasz, skąd ja mam ten entuzjazm” stają się hasłem do wieczornego papieroska w ukryciu – jak widać nawet na pielgrzymce musieliśmy konspirować i być wbrew obowiązującym regułom. W pewnym sensie owocem pielgrzymki jest nowa edycja gdańskiego pisma BISZ – Biuletynu Informacyjnego Szkół Zawodowych, które po powołaniu Gdańskiej Rady Koordynacyjnej przyłącza się do FMW.



W listopadzie 1985 dołącza do nas Ruch Młodzieży Niezależnej z Krakowa – powstaje Rada Koordynacyjna FMW. Nawiązujemy też ścisłą współpracę z Ruchem Młodzieży Niezależnej wydającej m.in. pismo „Szaniec” – z tego, co pamiętam, współpraca trwała przez kilka lat, możliwe, że do 1989 roku.

Staramy się aktywizować młodzież zwłaszcza w czasie kolejnych rocznie tragicznych wydarzeń z historii Polski oraz świąt niepodległościowych. Staramy się przypominać o młodocianych ofiarach komunizmu jak Grzegorz Przemyk, Romek Strzałkowski i inni. Częstą formą oporu w szkołach staje się ubieranie na czarno lub tzw. przerwy milczenia. W związku z podwyżką cen biletów autobusowych namawiamy społeczeństwo do

przekazywania sobie wzajemnie biletów przy wysiadaniu z autobusu – już nie pamiętam kto był pomysłodawcą akcji. Organizujemy niezależne wykłady i tajne nauczanie. Do dziś mam przed oczami spotkanie z legendą opozycji, Jackiem Kuroniem, gdzieś na początku '86. Siedzimy w kilkanaście osób na czym popadnie wokół kanapy zajmowanej przez naszego wykładowcę. W przerwie wykładu, opowiada nam o transmitowanej przez nas audycji Radia „S” widzianej oczami więźnia Rakowieckiej (o akcji tej piszę dalej w kontekście współpracy z Radiem „Solidarność”). Podziękowania za nadaną audycję od legendarnego Jacka Kuronia, to jedna ze wspanialszych chwil w moim życiu.

Nie zdając sobie z tego sprawy szybko stajemy się najbardziej aktywną niezależną grupą młodzieżową. W ciągu kilku lat struktury Federacji Młodzieży Walczącej powstaną w ponad 70 ośrodkach, takich jak m.in.: Białystok, Brzeg, Bydgoszcz, Chełm, Chojnice, Cieszyn, Częstochowa, Gdańsk, Gdynia, Giżycko, Gołdap, Inowrocław, Katowice, Kętrzyn, Kielce, Kłobuck, Kołobrzeg, Konstantynów Łódzki, Kraków, Krosno, Kutno, Kwidzyn, Lublin, Łódź, Malbork, Miechów, Mrągowo, Nakło, Niepołomice, Nowa Huta, Nowy Sącz, Olkusz, Olsztyn, Ozorków, Płock, Poznań, Pruszcz Gdański, Przemyśl, Puck, Radom, Reszel, Rusocin, Rzeszów, Sanok, Siedlce, Sieradz, Skarżysko Kamienna, Sopot, Starogard Gdański, Strzelin, Suwałki, Szczecin, Szczytno, Świecie, Święta Lipka, Tarnów, Tomaszów, Toruń, Warka, Warszawa, Wejherowo, Włocławek, Wrocław, Zamość, Zawiercie, Zgierz, Zielona Góra, Żukowo, i Żywiec. W ośrodkach tych powstaną co najmniej 138 różnych tytułów gazet podziemnych wydawanych przez Federację Młodzieży Walczącej.

Jeszcze w '84 roku przez Henryka Wujca poznaję śp. „Teosia” (Teodor Klincewicz) – szefa i twórcę Grup Oporu „Solidarni”. „Teosia” zapamiętałem jako radosnego, ale strasznie zmęczonego i zabieganego szczupłego 30-latką. Do dziś furorę robi jego wspomnienie z czasów Stanu Wojennego, które pozwolę sobie przytoczyć i tutaj:

„Pewnego dnia po powrocie do domu Teos wpada na swojego kilkuletniego siostrzeńca, „starszaka” w powyciąganych rajstopkach. Spogląda on na „Teosia” i z butną miną oświadcza:

– „Wujek! Wujek! Nie wiem jak młodszy koledzy, ale moje pokolenie jest dla BOLSZEWII stracone...”

W strukturze organizacyjnej solidarnościowego podziemia Grupy Oporu „Solidarni” podlegają przewodniczącemu Regionu Solidarności „Mazowsze” i członkowi TKK „Solidarność” zarazem, czyli Zbigniewowi Bujakowi. Od tego momentu warszawskie FMW rozpoczyna ścisłą współpracę z Grupami Oporu „Solidarni” – współpracujemy z Grupą Wojtki Nachiło „Waldka”. W okresie tej współpracy przez GO „S” przewinęła się duża ilość grochowskiej młodzieży. Osoby które zapamiętałem z tamtych lat to min. Jacek Czarnecki „Czarny” (FMW), NN Rafał Dzieciolowski „Pasek” (FMW), Konrad Fałęcki „Koń”, Wojciech Gniadzik „Gniady”, Grzegorz Kawulak, Zbigniew Krawczyk „Cieć”, Maciej Kutrowski „Kuter”, Mirek Mikołajczuk „Mikuś”, Mateusz Mroz „Matys”, Ryszard Nachiło „Rychu”, Paweł Płaczkowski „Pawełek”, Jacek Popławski „Mleczarz”, Adam Rosłonec „Adaśko”, Piotr Szynkiel „Kuba”, „Czereśniak” (FMW), Marek Wiewiorowski „Długi” (FMW), Tomasz Winek „Haze” alias „Loze”, Jacek Winek vel Gawryszewski „Winniczek”, Janek Zieliński „Zielnia”, „Jankoś”, NN „Kepler” (FMW). Wielu członków FMW prowadziło akcje równoległe, nie wchodząc w struktury GO „S”. Do dziś jestem pełen podziwu dla naszej organizacji i sposobów wymiany informacji. W tych czasach przecież GSM i Internet nie istnieją, a telefony są na podsłuchu. Skuteczność zapewniały nam regularne odprawy, zaś brak punktualności i niesłowność w konspiracyjnej robocie traktowane są niemalże jak dywersja. Czasami do koordynowania niektórych akcji używaliśmy przemyconych z zachodu krótkofalówek wyposażonych w scrambler. Urządzenie to, oprócz kodowania, skokowo

zmienia kanały i częstotliwości, uniemożliwiając podsłuch. Dodatkową zaletą tych krótkofalówek jest możliwość podsłuchu pasma milicyjnego, umożliwiającą czasami podjęcie działań wyprzedzających.

Mamy punkt kontaktowy i zborny na koronie Stadionu Dziesięciolecia w Warszawie. Miejsce doskonałe z uwagi na świetną widoczność naokoło, łatwość ucieczki i doskonały punkt komunikacyjny. Stąd rozjeżdżaliśmy się samochodami, autobusami, tramwajami, a nawet rowerami i motocyklami na „robotę”. Gdyby Milicja chciała obstawić taki teren i nas złapać, musiała by zaangażować z pewnością kilkuset funkcjonariuszy. Później, po wypadkach naszych kolegów, dla bezpieczeństwa, porzucamy stadion, przenosząc się na tyły małej stacji CPN na Zwycięzców lub do Parku Skaryszewskiego. Żadne z tych miejsc nie mogło się równać ze Stadionem. Nic dziwnego: tam była cisza i spokój, później w nowych miejscach ciągle ktoś nam przeszkadzał. A może po prostu wyczuliśmy, że to właśnie tam, blisko, 30 lat później, powstać ma Stadion Narodowy na potrzeby EURO2012 (o ile oczywiście się uda) i stąd ten nasz sentyment do tego miejsca.

Akcje uliczne wchodzą w nową dla nas jakość – z amatorskich wyskoków, stają się profesjonalnymi akcjami, przygotowanymi przez cały sztab bezimiennych kolegów. Są chwile, kiedy sypimy prawie codziennie, starając się nadążyć za powielaczami drukującymi kilkudziesięciotysięczne nakłady. Początkowo do GO „Solidarni” wchodzić wraz z „Czarnym”. W oparciu o techniki poznane w GO „S” przeprowadzamy akcje uliczne własnymi siłami. Dla bezpieczeństwa nie wprowadzamy pozostałych kolegów z FMW do GO „S”. Działamy dwutorowo w FMW i GO „S”, dublując w ten sposób struktury na wypadek wypadki. Wciąż nam się wydaje, że jesteśmy zbyt mało skuteczni – myślimy o prawdziwej walce z komuną. Kolce do przebijania opon, materiały wybuchowe, butelki z benzyną czy wreszcie, niedoszła na szczęście do skutku, akcja wysadzenia w powietrze rurociągu „Przyjaźń”. Ponowny wzrost bojowych nastrojów w warszawskim FMW miał miejsce w roku 1988, kiedy to ponownie przygotowano kolce i śruby stalowe, do zatrzymania kolumn ZOMO na moście Gdańskim w Warszawie. Była to rutynowa trasa przejazdu na kolumn do rozpędzania warszawskich manifestacji z koszarów w Gołędzinowie. Opatrzność, a właściwie dorośli działacze czuwają nad nami, schładzając nasze gorące głowy. Mimo to wielu z nas marzyło nieustannie, by wzorem pewnego, zapomnianego dziś polskiego bohatera wyjechać do Afganistanu w wiadomym celu. Bohaterem tym był Lech Zondek - student psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zginął walcząc z bronią w ręku Sowietami u boku Mudżahedinów. Jak głosi legenda, jak przystało na polskiego żołnierza, do końca „nosił” orzelka w koronie na swej czapce. Na jego grobie afgańscy przyjaciele stawiają krzyż z napisem "Lech Zondek - polish soldier". To hańba dla współczesnych, że pamięć o nim praktycznie nie przetrwała.



Lech Zondek, student UW i mudżahedin. Ostatni żołnierz polski poległy w walce z Sowietami.

Tymczasem my, uspokojeni przez naszych starszych kolegów z opozycji, zajmujemy się „grzeczną” działalnością podziemną, która i tak dostarcza nam niezapomnianych emocji. Malujemy hasła polityczne, rozwieszamy transparenty w centrum Warszawy (w konspiracyjnym żargonie „szmaty”), z których często wysypują się zwinięte w środku ulotki.

Stosujemy kilka metod ulotkowania. Akcje przeprowadzamy w szkołach i uczelniach, przy okazji malując na korytarzach hasła antykomunistyczne. Najwięcej jednak emocji towarzyszy akcjom „na mieście”. Pierwsza z technik - ulotkowanie „na bombę” polega na wysokim wyrzuceniu „la bomby” z przejściowej bramy, wprost nad przechodzących ludzi. „La bomba” to około 1000-1500 ulotek zwiniętych w paczkę lub rulon spiętych łątką do zerwania taśmą papierową. Dobrze rzucona „La bomba” rozsypuje się w powietrzu na deszcz ulotek. Dla zwiększenia efektu wybierało się ciągi o dużym natężeniu ruchu przechodniów, ucieczka odbywała się poprzez przejściową bramę na inną ulicę. Metoda ta wykonywana w tłumie przechodniów wymagała stalowych nerwów. Stres podobny jak przy pierwszym skoku na spadochronie.

Bardziej zaawansowaną, relaksującą wręcz metodą była „przewieszka”. Paczka ok. 2000-3000 ulotek związana była wędkarską żyłką, pod którą wsadzało się zapalony lont lub podobnie działający zachodni papieros. Przepalały one żyłkę z kilkuminutowym opóźnieniem. „Przewieszkę” montowało się najczęściej na gzymsie budynku, a lont pozwalała na w miarę spokojne wyjście z budynku i obserwowanie efektów akcji. Ponieważ wyłazy dachowe są zamykane, musimy się włamywać przecinając kłódki. Czasami dochodzi do zabawnych scen. Kiedyś dopada nas lokator z awanturą, że włamaliśmy się na dach. Zorientowawszy się jednak, co zrobiliśmy natychmiast z uśmiechem się wycofuje i pędzi za nami zbierać ulotki z chodnika. Innym razem wieszamy „przewieszkę” nad siedzibą „Aeroflotu” w Jerozolimskich. Podchodząc do krawędzi dachu nagle zauważam, że zniknął ubezpieczający mnie „Czarny”. Po chwili widzę, jak wije się niczym wąż pomiędzy kominami. Zapytany co robi, odpowiada, że gdzieś w oknie obserwuje nas jakaś „baba”. Pytam „myślisz, że jak się będziesz czołgał, to wydasz się mniej podejrzany”? Wstaje, otrzępuje się i szybko kończymy. Co tu dużo mówić, dziś w wygodnym fotelu z laptopem na kolanach, fajnie wspomina się te przygody, jednak w tamtych latach, była to dla nas potężna porcja stresu. Niczym na wyprawie w wysokie góry, za każdym razem zakładaliśmy, że tym razem możemy nie wrócić.

Działając trzecią, najbardziej spektakularną metodą, wykorzystujemy wyrzutniki pirotechniczne. Składały się one z plastikowej rury kanalizacyjnej wypełnionej materiałem wybuchowym i ulotkami. Wyrzutniki wyposażone w zapalnik czasowy umieszczało się w miejscach najbardziej niebezpiecznych do ulotkowania na otwartych przestrzeniach, często nadzorowanych przez MO, gdzie inne metody były zbyt ryzykowne. Torbę z wyrzutnikiem stawiało się w miejscu, odseparowanym od przechodniów, tak by nie było ryzyka poranienia osób przypadkowych. Z tego też powodu torba pilnowana była aż do samej eksplozji. Staraliśmy się unikać koszy na śmieci, gdyż cieszyły się dużym zainteresowaniem i ciężko je było upilnować. Pamiętam, że kiedyś musieliśmy interweniować i trzymać do momentu wybuchu jakiegoś ciekawskiego „pijaczka” - miał niezwykle zadziwioną minę, gdy jego niedoszły łup eksplodował, zamieniając się w chmurę białych ulotek. Mieliśmy też kilka nieprzyjemnych wypadków z tymi wyrzutnikami, sami stając się ich ofiarami. Co najmniej dwa razy dochodzi do natychmiastowego zapłonu w trakcie uruchamiania zapalnika, który powinien działać z opóźnieniem. Pamiętam, jak uciekamy z rannym w rękę „Waldkiem” (Wojciech Nachiło - GO„S”) i ogłuszonym „Czarnym”, który w momencie eksplozji pochylony był nad wyrzutnikiem. Wszystko to miało miejsce na pełnym ludzi przystanku autobusowym na skrzyżowaniu Jerozolimskich i Marszałkowskiej pod Hotelem Forum (dziś Novotel). Miejsce tamtej akcji było wybrane z premedytacją – na środku skrzyżowania

zawsze obecni byli funkcjonariusze MO, a nam zależało, by „zagrać im na nosie”. Po kilkuminutowej ucieczce ulicą Nowogrodzką zatrzymujemy się i wybuchamy śmiechem patrząc na okopconą twarz „Czarnego”. Rzucam „ty się zając śmiejesz, ale tyś nieźle pierd...” i dostajemy ataku śmiechu.

Inny wypadek przytrafił się „Mariuszowi” z grupy „Piotra” (Grupy Oporu „S”), który pracował w domowym laboratorium przy produkcji „wyrzutników”. Po eksplozji trafił do okulisty na płukanie oczu twierdząc, że w czasie czyszczenia eksplodował mu w twarz piecyk gazowy. W odpowiedzi usłyszał od uśmiechniętego okulisty radę, by raczej nie używał prochu do tej czynności.

W kwietniu 1985 roku w kotle urządzonym przez naszego znajomego Zygmunta Krzemińskiego, zwanego przez nas „Mistrzem” zatrzymanych zostaje mnóstwo osób, w tym Iza Makowska. Bez wyroku zostaje osadzona na 10 miesięcy w Areszcie Śledczym na Rakowieckiej. Po tych wydarzeniach wraz z Moniką Szewczak ewakuujemy drukarnię z domu Adama Golańskiego do jej mieszkania na Czerniakowskiej. Niestety, wpadam w poślizg na śliskiej jezdni i bokiem uderzam w wojskową Wołgę. Natychmiast biorę winę na siebie, podpisując wszystkie oświadczenia, modląc się o to by nikt nie zorientował się, że mój „maluch” wypełniony jest po brzegi sitami, farbami i papierem. Na szczęście nikt nie wezwał milicji, prawdopodobnie dlatego, że nie było wtedy jeszcze telefonów komórkowych. Robi się wokół nas gęsta atmosfera, po kilku tygodniach drukarnię przerzucamy na Mokotów, by na końcu kilka miesięcy osiąść na Tamce. Tam, w mieszkaniu ciotki Moniki, śp. Niny Ruczko dochodzi do wpadki w marcu '86. W trakcie drukowania aresztowani zostają Nina Ruczko, Jacek Kutzner, Tomek Grudziński i Robert Napiórkowski. Wychodzą „z amnestii” po czterech miesiącach.

Nieco wcześniej, jeszcze w '85 roku do grup małego sabotażu dołączają Rafał Dzieciołowski „Pasek” (ze swoim Polskim Fiatem 125p), Grzegorz Rządkowski „Bziuniek” (jego brat Robert – jubiler robił dla nas srebrne krzyżyki z literą „S”) i NN „Kepler”. Ten ostatni zapisał się w naszej pamięci wrzuceniem paczki z ulotkami wprost do dziecięcego wózka, który pechowo znalazł się w zasięgu jego „sierpowego” – na szczęście dziecku nic się nie stało, a ludzie szybko wyczyścili wózek z ulotek. W 1985 roku poznaję „Kubę” alias „Czereśniaka” (Piotr Szynkiel), który okazuje się posiadać duże kontakty wśród młodzieży robotniczej. Piotrek weźmie na siebie ciężar kierowania warszawską FMW od drugiej połowy 1986 roku. Było wielu innych kolegów i koleżanek – ich nazwisk i imion nie jesteśmy w stanie dziś odtworzyć z uwagi na ściśle wówczas przestrzegane reguły konspiracji.

Oprócz regularnego ulotkowania wykonujemy transmisje Radia „Solidarność” – zarówno radiowe jak i uliczne przy wykorzystaniu sprzętu nagłaśniającego (tzw. „gadał”). Gadała składała się z dużej kolumny głośnikowej, akumulatora i samochodowego odtwarzacza kaset magnetofonowych. Najbardziej spektakularną akcją było nadanie audycji dla więźniów politycznych osadzonych w Areszcie Śledczym na Rakowieckiej z okazji „Tygodnia Więźnia Politycznego” w październiku 1985 r. W akcji bierze udział kilkanaście, może więcej osób. Wielogodzinne obserwacje przed robotą miały zmniejszyć ryzyko wpadki – „Tydzień Więźnia Politycznego” był już ogłoszony i SB-cy patrolowali ten teren. Jeden zespół wymienia kłódkę w wyłazie i instaluje migające diody (napiszę o nich za moment), kto inny przywozi sprzęt, reszta obstawia pobliskie ulice. Gadała umieszczona została na dachu budynku w odległości zaledwie kilkunastu metrów od wieżyczki strażnika. Na dach wchodzę wraz z „Matysem” (Mateusz Mroz GO”S”). Przed tego typu akcjami zawsze był problem z obsadzeniem „głównych ról”, ponieważ iść chcieli wszyscy. W związku z tym pogodzić nas musiało losowanie zapalnikami. Szczęście tym razem dopisało „Matysowi”, ja miałem zaklepany udział na pierwszej linii z uwagi na Izę, siedzącą wówczas na Rakowieckiej. Po wyjściu na dach rozpakowujemy „gadałę”, z przerażeniem stwierdzając, że jest śnieżnobiała.

Na czarnym dachu stanowimy wyborny cel dla strażnika, którego postać na wieżycze strażniczej widzimy jak na dłoni. Wystrzelony przez niego pocisk karabinowy przewraca naszą „gadałę” już na samym początku emisji. Ona jednak, lekko uszkodzona, wywrócona gra dalej. Właściwie sam sygnał Radia „S” („Siekiera, motyka bimber szklanka”) wzbudził tak wielką euforię wśród więźniów politycznych przebywających w pawilonach II i III, że i tak nie usłyszeli oni reszty audycji. Więźniowie, zarówno polityczni jak i kryminalni zaczęli łomotać „platerami” robiąc tak wielkie zamieszanie, że do stłumienia tego buntu, ściągnięto tak zwane „atandy”, czyli uzbrojone w tarcze, kaski i pałki oddziały szturmowe służby więziennej. Na Rakowieckiej przebywali wtedy m.in. Jacek Kuroń, nasi przyjaciele „Koń” (Konrad Fałęcki GO„S”) i Iza Makowska. Dla ostatnich dwojga na końcu audycji w ramach swobodnego koncertu życzeń nagraliśmy ich ulubione utwory „Tramwaj nr 3” Wałów Jagiellońskich oraz „Skórę” Kukiza a właściwie AYA RL – w hałasie i zamieszaniu nikt nie zwrócił na to uwagi. W tym czasie w całym rejonie więzienia zrobiło się już niebiesko od Milicji. Na szczęście nas już od kilku minut nie ma w niebezpiecznej okolicy. Po drodze mijamy się z pędzącymi na sygnale ze wszystkich stron „sukami”. Znów 1:0 dla nas!

Ustawianie gadał na mieście wymagało przygotowania terenu akcji kilka dni wcześniej. Polegało to np. na włamaniu się do skrzynki elektrycznej „trafo”, umieszczeniu tam sprzętu nagłaśniającego i założeniu własnej kłódki. „Gadałę”, która miała urządzenie opóźniające uruchamiało się przed samą audycją. Do dziś pamiętam akcję w największym warszawskim przejściu podziemnym pod skrzyżowaniem Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Główne zadanie wykonują tym razem „Winniczek” (Jacek Winek, GO„S”) i „Waldek” (Wojtek Nachiło GO„S”). Przebrani w robotnicze drelichy z torbami monterskimi na ramieniu, mają się wcielić w role pracowników zakładu energetycznego. Na pozostałych kilkunastu kolegach spoczęło przygotowanie operacji i obstawienie całego terenu. W przypadku wpadki mamy wszyscy spróbować odbić „jeńców”. Atmosfera napięta, my jednak zamiast się denerwować pękamy ze śmiechu widząc jak się wystroili. Wystrojeni w kombinezony robocze oraz komiczne berety z antenką, ze znudzonymi minami i „petami” bez filtra w zębach spokojnie otwierają „trafo”, uruchamiają gadałę, zamykają kłódkę i leniwym krokiem oddalają się. W chwilę po odejściu „facetów w berecikach” zaczyna się audycja Radia „S”. Zbiera się tłum, pojawiają się milicjanci, stale patrolujący to przejście. W pewnym momencie do szafki podchodzi tajniak i zaczyna się szarpać z kłódką, gniewnie coś wykrzykując, przerywa zapewne widząc migające światełko. Otóż do „dobrego tonu” należało pozostawienie niespodzianki dla milicjantów. Była nią migająca dioda sugerująca obecność zapalnika i ładunku wybuchowego. Milicja bojąc się o własne życie zawsze czekała na przyjazd saperów. Gdy z tłumy rozlega się pomruk niezadowolenia, a tajniak sięga po pistolet. Na szczęście nie strzela. Ludzie pierzchają, my razem z nimi – szczęśliwi, że się wszystko udało.

Zamknięta na kłódkę „gadała” gra dalej, już tylko dla milicjantów, którzy zostali na miejscu akcji. Dość często dochodzi przy tych akcjach do awantur i szarpaniny z milicjantami oraz spisywania i zatrzymywania przypadkowych widzów.

Nadajemy również na falach radiowych – poczynając od małych nadajników mieszczących się w obudowie startera świetlówki (zasięg ograniczony praktycznie do jednego podwórka), na profesjonalnych radiostacjach „Gruba Berta”, ważących po kilkanaście kilo kolosach z trudem mieszczących się w dużej torbie turystycznej, kończąc. Na końcu audycji Radia „S” zawsze jest komunikat z prośbą o gaszenie i zapalanie świateł przez naszych słuchaczy, co pozwalało nam oszacować zasięg naszych urządzeń. Do dziś pamiętam wzruszenie po akcji na blokowisku pod nazwą Oś. „Za Żelazną Bramą”, kiedy zostaliśmy wynagrodzeni setkami mrugających świateł informujących, że skutecznie zajęliśmy pasmo reżimowego Dziennika Telewizyjnego sygnałem audycji Radia „S”. Akcje te działały

bezsilnej komunie na nerwy, zagłuszanie DTV było skutecznym ciosem. Na wysokich warszawskich budynkach pojawiły się pelengatory - urządzenia namierzające, które miały nas wykryć. Nie wiem nic o ich skuteczności, jednak kręcąc się na pół godziny przed zapowiadaną w prasie audycją Radia „S”, były dla wtajemniczonych niechybnym znakiem, że należy włączyć telewizor i czekać na Radio „S”. Z czasem komuna zaczęła stosować zagłuszanie. Operatorzy zagłuszarek zawsze jednak czekali na nasz sygnał. Dzięki temu do słuchaczy docierała bez przeszkód „Siekiera, motyka, bimber, szklanka” i nawet jeśli traciliśmy 90% audycji to odnosiliśmy kolejne zwycięstwo nad komuną - słuchacze otrzymywali czytelny sygnał naszej walki i bezkarności.

W drugiej połowie lat 80-tych własne audycje w Warszawie, Gdańsku i Krakowie nadaje również Federacja Młodzieży Walczącej. W tym czasie działalnością FMW w Warszawie, kieruje już „Kuba” (Piotrek Szynkiel). Przeprowadzono prawdopodobnie trzy transmisję w Warszawie, tj. na Żoliborzu (ul. Potocka), na Pradze Północ (Rondo Starzyńskiego) oraz na Pradze Południe (okolice Dworca Wschodniego). Transmisje, podobnie jak w przypadku Radia Solidarność odbywały się w paśmie Dziennika Telewizyjnego.

Nie ograniczamy się do terenu Warszawy. Kilkakrotnie wyjeżdżamy na występy gościnne do innych miast. Najgłośniejsza akcja ma miejsce w Katowicach, gdzie opozycja dopiero odbudowuje swoje struktury po pacyfikacjach ZOMO i licznych aresztowaniach. O naszej katowickiej akcji z wyrzutnikami wie wieczorem już cała Polska. Reżimowy Dziennik Telewizyjny nadaje relację o terrorystach z „Solidarności” i ich niewinnych ofiarach, a katowicka SB-cja szuka sprawców, którzy spokojnie siedzą w domu oglądając Dziennik. Ponieważ bezpieczeństwo przechodniów było priorytetem, jesteśmy pewni, że w trakcie akcji nikt nie został ranny, a występujące w relacji osoby były podstawione. Wyrzutniki stawiane są również we Wrocławiu. Nadajemy radiowe transmisje Radia „Solidarność” m.in. w Gdańsku, Szczecinie, ale także w mniejszych miastach jak podwarszawskie: Góra Kalwaria i Nowy Dwór Mazowiecki. W tym ostatnim transmisja prowadzona jest dla Społecznego Ruchu Oporu „Meteor Czubajka” z Zakroczymia – ta tajemnicza nazwa do dziś budzi nasza wesołość.



Przygotowania do zbliżającego się PRL-owskiego referendum.

Poczynając od 1984 r. uczestniczymy we wszystkich akcjach antyreferendalnych i antywyborczych z liczeniem frekwencji włącznie. Przed liczeniem mamy liczne spotkania organizacyjne, gdzie statystycy instruują nas jak szacować liczbę uprawnionych do głosowania oraz jak liczyć głosujących. Przekazywane nam są adresy skrzynek

kontaktowych i harmonogramy działania.

Dla określenia liczebności okręgu wyborczego stosuję własną, niezwykle precyzyjną metodę. Zbyt późno na nią jednak wpadłem, by się podzielić z kolegami. Dziś myślę, że dobrze się stało, rozpoznanie tej metody przez SB, niechybnie doprowadziłoby do wielkiej

dekonspiracji. Ustalałem nazwisko osoby mieszkającej w „ostatnim” mieszkaniu danego okręgu (ostatnia alfabetycznie ulica, najwyższe numery domu i mieszkania) po czym podając się za członka tej rodziny szedłem do punktu wyborczego sprawdzić swą obecność na liście, twierdząc oczywiście że nie mam dowodu bo czekam na nowy. Znudzony pracownik komisji wyborczej otwierał przy mnie księgę wyborców pokazując mi ostatni numer porządkowy, tożsamy z liczbą uprawnionych do głosowania. Frekwencję liczyło się na dwa sposoby – stały i wyrwykowy (statystyczny). „Stały” wymagał dojścia do mieszkania z oknem na komisję wyborczą i żmudnego liczenia przez cały dzień wychodzących osób. W przypadku metody statystycznej mieliśmy wyznaczone przez statystyków ściśle określone kilku- może kilkunastominutowe okresy liczenia osób wychodzących z konkretnych komisji wyborczych. Osoba licząca dostawała wówczas listę punktów z podanymi godzinami obserwacji i przez cały dzień jeździła po mieście. Uzyskane wyniki wpisujemy do specjalnych formularzy i wieczorem zdajemy w skrzynkach kontaktowych. Dzięki sprawnej organizacji pierwsze wyniki liczenia frekwencji wyborczej Radio Wolna Europa podaje już wieczorem, zaś oficjalne dane o frekwencji publikowane są przez prasę podziemną kilka dni później. Dzięki tym akcjom do historii przechodzą komunistyczne komunikaty o frekwencji sięgającej 99% z czymś tam po przecinku. Mimo konspiracji i skromnych możliwości mamy podobny „czas” do dzisiejszych komunikatów wyborczych, tworzonych przez wyposażonych w nowoczesne techniki teletransmisyjne i nowoczesny sprzęt komputerowy, pracowników OBOP.



W drodze na robotę –prawdopodobnie późna jesień 1987. Od lewej: „Koń”, „Waldek”, „Czarny” i „Wiejski”



Jedno z niewielu zdjęć wykonanych przy pracy - Wojciech Nachiło z GO „Solidarni”

W czasie, gdy ja przekazuję swoje wyniki na skrzynce kontaktowej, na drugim końcu Grochowa SB-cy przywożą na rewizję do domów, zatrzymanych przy liczeniu kolegów z GO”S”. Są to Adaśko (Adam Rosłaniec) oraz bracia „Waldek” (Wojtek Nachiło) i „Rysiek”(Ryszard Nachiło). Pierwsza rewizja odbywa się w domu braci Ryszarda i Wojtka Nachiło. Pomimo „posprzątania” mieszkania przez braci (zawsze tak robiliśmy przed akcją), SB-cy odnajdują jakąś zapomnianą bibułę. Po zakończonej sukcesem SB-ków rewizji wszyscy przewożeni są pod dom „Adaśka”, który w asyście dwóch ZOMO-wców i SB-ka prowadzony jest na górę. I tu sytuacja zaskakuje zarówno Adaśka, jak i samych ZOMO-wców. Otóż Pan Rosłaniec pod pretekstem braku formalnego nakazu rewizji, odmawia wpuszczenia SB-ków do domu. Robi się awantura na cały blok. ZOMO-wcy krzyczą że, zgodnie z przedwyborczym rozporządzeniem, mają prawo wejść do mieszkania na podstawie legitymacji, zaś dzielný ojciec „Adaśka” jak lew broni swojej rodziny i prywatności mieszkania. W pewnej chwili, korzystając z zamieszania, wyrwa syna z łap SB-ków i wypcha go do mieszkania, sam zostając na korytarzu w kapciach i krótkich spodenkach. „Adaśko” rygluje od środka drzwi wejściowe, po czym wraz z mamą „czyścić” mieszkanie z

nielegalnych materiałów. Całe domowe archiwum łąduje w podwójnej ścianie pomiędzy łazienką a klatką schodową, zaś w powietrzu unosi się zapach waleriany mający sugerować poważne kłopoty z sercem Pani domu. Tymczasem atmosfera na klatce rozkręca się. Pan Rośliniec kłóci się na klatce z ZOMO-wcami żywo gestykulując, zaś trzymani w „suce” słyszą jak milicjantka wzywa pomoc krzycząc do radia „biją naszych”. Po chwili pod klatkę Roślinców przyjeżdża kilka „Nysek” ZOMO. Piętra powyżej i poniżej wypełniają się oddziałem ZOMO szykującym się do szturm – scena niczym z „Leona Zawodowca”. Na szczęście po chwili kierujący akcją kapitan dostaje polecenie, by nie eskalować awantury w dniu wyborów i ZOMO wycofuje się. Trzymany w milicyjnej suce „Waldek” relacjonuje później rzucone po przerwanej akcji przez SB-ka słowa – „Ja mu ku... tego nie odpuszczę”! I rzeczywiście, ojciec „Adama” kilka dni później zostaje wezwany na komisariat... wraca dopiero po wielomiesięcznej odsiadce.

Przystępujących do nas nowych członków FMW szkolimy w konspiracyjnym fachu. W naszej działalności stosowaliśmy (z nielicznymi wyjątkami) fanatyczną konspirację, która spowodowała, że dziś ciężko odnaleźć kolegów sprzed 21 lat. Wynika ona z lektury wspomnień akowców, którzy byli dla nas prawdziwymi bohaterami i wzorcami do naśladowania. Szkoda, że wówczas nic nie wiedziałem o moim dziadku.

W ramach naszej działalności drukujemy i kolportujemy już nie tylko prasę młodzieżową, ale praktycznie wszystko, co krąży w drugim obiegu książki, zdjęcia, znaczki, koszulki itp. Aktywnie włączamy się w kolportaż i druk „Tygodnika Mazowsze”, „KOS-a”, „Tu i Teraz”, „Woli” i wielu innych. Współpracujemy także z powstałym w połowie lat osiemdziesiątych pismem PWA, które zakasowało wszystkie pozostałe tytuły jakością druku i doskonałymi zdjęciami. W mieszkaniu mojej siostry Agnieszki Dzikowskiej urządzony jest punkt kolportażu PWA. Działa krótko – został „uśpiony” zaraz po porwaniu mnie przez SB-ków w lutym 86, o czy piszę dalej.

Pamiętam kolegę, boksera ze Śląska, który przy ulicznej wpadce w czasie „sypania”, zamiast uciekać rozprasował ubeków na ziemi, po czym od niechcenia rzucił „u nas się nie ucieka, u nas się ich leje”. Tracę z nim kontakt po tym jak się dowiaduję, że w trakcie przesłuchania w Katowicach pokazywano mu moje zdjęcia, prawdopodobnie sprzed domu Adama Golańskiego.

W przypadku wpadki w pierwszej kolejności czyszczone jest mieszkanie „jeńca” (o ile uda się wyprzedzić rewizję i kocioł SB). Po wyczyszczeniu mieszkania, wszelkie kontakty są natychmiast zrywane a ewentualna opieka i dalsza pomoc świadczona jest przez Komitet Prymasowski. W takich przypadkach powstrzymujemy się przed pisaniem o naszym złapanym koledze, by nie pokazywać SB naszych powiązań. Do dziś pamiętam Wojtka Grabowskiego z Liceum Chrobrego, aresztowanego przez ubeków w czasie prowadzonego przeze mnie szkolenia z ulotkowania „na bombę”. Ustawiamy się w jednej z bram przy ul. Marszałkowskiej, która miała drugi wylot również na Poznańską. Na środku pomiędzy podwórkami był ok. 3 metrowy płot z drucianej siatki, dzielący podwórkę z obu stron. Płot ten stanowił przeszkodę zarówno dla uciekających jak i pościgu. Stwierdziłem, że zaryzykujemy, bo brama przez ten płot nie była jeszcze „sypana”. Niestety, pech chciał, że brama jest obstawiona również przez SB. Nauczycielowi, czyli mnie, udaje się uciec, parkan pokonałem wyrывая się SB-kowi szarpiącego mnie za nogawkę - do dziś mam z powodu aresztowania Wojtka wyrzuty sumienia. Wciąż go widzę ściąganego przez ubeków na ziemię. Stoję może dwa metry dalej - z drugiej strony parkanu. Nie mogę zrobić nic, poza natychmiastową ucieczką. Wojtka Grabowskiego poznałem przez Ewę Gontarską z Liceum Zamojskiego oraz Mariusza Molika z Władysława IV. Prawdopodobnie zanim jeszcze rozpoczęło się przesłuchanie Wojtka, razem z Ewą byliśmy już pod jego domem, gdzieś na

warszawskiej Pradze. Ewa poszła do środka uprzedzić rodziców, ja czekałem na nią na dole. Gdyby nie wróciła, ja miałem z kolei poinformować jej rodziców.

Dla bezpieczeństwa wycofuje się z tworzenia Naszych Wiadomości – dalej wychodzą regularnie aż do 1989 roku, ale już bez mojego udziału. Chwilę później niestety zmienia się ich format, objętość i szata graficzna.

W październiku 1985 razem z GO „Solidarni” bierzemy udział w samobójczej akcji nad barem "Donald" na rogu ul. Szpitalnej i Rutkowskiego (dziś Chmielna). Akcja ta, zorganizowana chyba z okazji Tygodnia Więźnia Politycznego, właściwie od samego początku skazana była na klęskę. Informowała o niej prasa podziemna już na kilkanaście dni wcześniej. W komunikatach zapowiadano manifestację i transmisję Radia „S” na tyłach Domów Centrum i Marszałkowskiej (dzisiejszy Pasaż Wiecha). W związku z tym na miejscu akcji doszło do niezwykle silnej koncentracji funkcjonariuszy SB i MO. Kilka dni wcześniej na dachu baru „Donald” ukryto gadałę, która stalową liną miała zostać wciągnięta na odpowiednią wysokość na elewacji budynku przed samą transmisją. Na godzinę wcześniej rozpoczęliśmy akcje ulotkowe w centrum Warszawy informujące o przeniesieniu audycji Radia Solidarność na skrzyżowanie Szpitalnej i Rutkowskiego. W czasie sypania w naszpikowanych SB-kami Domach Towarowych Centrum w trakcie spektakularnej ucieczki, zakończonej skręceniem kostki, aresztowany zostaje Jacek Czarnecki. Kłopoty techniczne, a w chwilę później SB-cy, uniemożliwiają uruchomienie „gadały”. Uciekający z miejsca Paweł Łapiński, podczas skoku z dachu baru „Donald” łamie obie nogi. W zamieszaniu sami wsadzamy go esbekom do FIAT-a myśląc, że to nasz samochód. Akcja kończy się totalną klęską. Zgodnie z naszymi zasadami, mieszkanie „Czarnego” czyszczę z jego mamą natychmiast po jego zatrzymaniu, wyprzedzając rewizję zrobioną przez SB kilka godzin później. „Czarny”, po wyroku z tzw. bomby, ląduje w więzieniu na Białoleścu osadzony w celi z kryminalistami. Wychodzi chyba miesiąc później z amnestii, po czym natychmiast zostaje powołany do wojska i zostaje skierowany do Batalionów Inżynieryjno-Budowlanych mających opinią jednostki karnej.

W lutym 1986 roku przychodzi moja kolej - zostaję porwany przez „nieznanych sprawców”. Po obezwładnieniu mnie jakimś środkiem chemicznym zostaję przewieziony do jakiejś piwnicy, gdzie po przywiązaniu mnie do krzesła rozpoczyna się obróbka – jestem bity, przypalany papierosem, rażony prądem w narządy płciowe. Wypytywany jestem o Solidarność, Oświatę Niezależną i prasę podziemną. Na szczęście mdleję – nie wiem czy długo bym to jeszcze wytrzymał. Byłem wtedy naprawdę bliski załamania, uwięziony w jakimś nieznanym miejscu, nikt nie wiedział gdzie jestem - myślałem, że już po mnie. Na koniec pomalowany moim własnym czerwonym sprayem, nieprzytomny zostaję wyrzucony na torach kolejowych na warszawskim Grochowie przy ul. Makowskiej. O świcie budzi mnie dotkliwie zimno, na szczęście przed nadjechaniem pociągu. Wydarzenie to potraktowałem jako przesłanie - ulica ta nazywała się bowiem tak samo jak Iza Makowska, wtedy już moja dziewczyna, która trzy miesiące wcześniej wypuszczona została z Aresztu Śledczego na Rakowieckiej – to nie mógł być zbieg okoliczności. Po jakimś czasie odwiedza mnie w domu Adam Golański, który pomaga mi umyć się z farby, która weszła w głąb ran. Z jednej strony jestem wdzięczny za pomoc, z drugiej wściekły, że do mnie przyszedł – złamał wszystkie możliwe zasady konspiracji! Tłumaczy, że skoro razem pracujemy na Politechnice Warszawskiej to i tak bez znaczenia. Ja zaś zgodnie z tymi zasadami udaję się na polityczną kwarantannę. Z ramienia Podziemia, wsparcia udziela mi śp. Anatol Lawina, któremu w moim mieszkaniu zdaje relację z porwania. Zostaję skontaktowany z mecenasem Wiesławem Johannem, znanym wówczas obrońcą politycznym, który instruuje mnie o przysługującym mi prawie złożenia doniesienia o popełnieniu przestępstwa do organów ścigania. Śledztwo prowadzone przez Prokuraturę na Pradze Południe przez asesora nomen-omen Gawędę

zostaje umorzone z powodu nie wykrycia NN sprawców. Nikogo nie zdziwiło, że czynności śledcze ograniczyły się do przesłuchania mnie i moich znajomych, głównie do zbadania prowadzonej przeze mnie działalności podziemnej. Mimo gotowości wskazania miejsca uprowadzenia, porzucenia i ewidentnych śladów Milicja nie przeprowadziła nawet wizji lokalnej. Z opisanych wcześniej powodów „Nasze Wiadomości” milczą na ten temat – nie publikujemy relacji z tego wydarzenia, nie chcąc wskazywać powiązań organizacyjnych. Informację o pobiciu (z powodów konspiracyjnych występuje jako „21-letni pracownik Politechniki Warszawskiej”) podaje Tygodnik Mazowsze nr 159 i Radio „Wolna Europa”.

Pod koniec maja '86 przeżywamy wielki szok i gorycz klęski. Aresztowany zostaje Zbyszek Bujak, legenda podziemia ukrywający się od 13 grudnia, któremu podlegały GO „Solidarni”. Komuna triumfuje – DTV nadaje reportaż o jego aresztowaniu. Do dziś pamiętam to przygnębienie i apatię. Co teraz będzie dalej? Czy podziemie podźwignie się z tej klęski? Podźwignęło się jednak, nad podziw szybko, a nasza Federacja Młodzieży Walczącej żywiołowo rozwija się w całej Polsce.

Z późniejszych form aktywności pamiętam, jak w czasie owej kwarantanny, jeszcze w roku '86, czekamy z „Czarnym” na wypuszczenie więźniów politycznych na Rakowieckiej. Przed więzieniem zebrał się spory tłum. Po chwili pojawia się Milicja i usuwa wszystkich zgromadzonych, za wyjątkiem „Jacków”, którzy przed bramą AŚ Mokotów wykonywali akurat wyimaginowany remont kapitalny „poważnie uszkodzonego” motocykla. Na chodniku rozłożyliśmy zdemontowane: cylinder, rurę wydechową i mnóstwo luźnych narzędzi. Upaprani czarnym smarem byliśmy praktycznie „niedotykalni”. Kiedy okazało się, że ze zwolnień nici, złożyliśmy motor do kupy i odjechaliśmy spod bramy z takim fasonem, że po przejechaniu może kilometra byliśmy rewidowani przez patrol Milicji na Pl. Unii Lubelskiej. Nic przy nas jednak nie znaleziono i puszczono nas wolno. Niedługo wytrzymuję bez ulotkowania, tęskno mi za kolegami, wspólnymi akcjami i naszymi odprawami na koronie Stadionu X-lecia. Co jakiś czas robię samotne wyskoki, naginając konspiracyjne reguły – działam samotnie, więc nikogo za sobą nie pociągnę w przypadku wpadki. „Sypię”, kleję i maluję - często na Politechnice Warszawskiej, którą przemierzam wszcz i wzdłuż pracując tam jako goniec. Politechnikę znam jak własną kieszeń, w labiryntach korytarzy i klatek schodowych czuję się jak ryba w wodzie. Uznaję więc, że ryzyko wpadki jest minimalne i... zanim ulotki spadają na ziemię, jestem już daleko. Czynności te stają się z czasem naturalną częścią moich służbowych obowiązków. Razem z Adamem Golańskim, który mi tę pracę załatwił, regularnie kontrolujemy też uczelnianą korespondencję. Nie mamy żadnych skrupułów, teraz my cenzurujemy „czerwonego”. Naszym łupem padają zawiadomienia z prokuratury informujące władze uczelni o nielegalnych wybrykach studentów, a także biuletyny wewnętrzne PZPR, stanowiące dodatkowe źródło informacji o „zagrożeniach dla socjalistycznego ładu i porządku”.

W ramach drobnej dygresji muszę stwierdzić, że rosyjska technika całkiem nieźle przysłużyła się walce z komuną – oprócz aparatów fotograficznych Zenit i Smiena, radioodbiorników VEF do nasłuchu Wolnej Europy. Do transportu nielegalnych materiałów używaliśmy mojego motocykla K-750 oraz pożyczanego od niewtajemniczonego kolegi („Stiopa”, wybacz proszę) wojskowego samochodu terenowy GAZ-69. Pomalowany na wojskowo Gazik nie budził zainteresowania patroli MO, a do środka można było zmieścić z pół tony papieru więc świetnie nadawał się do zaopatrywania drukarni w papier i szybkiego wywożenia świeżego nakładu „Naszych Wiadomości” i innych drukowanych gazet.

Jeszcze jedno wspomnienie związane z FMW – przez warszawską „konkurencję” nazywani jesteśmy „federastami” (od federacji) albo „wieśniakami” (przez podobieństwo nazwy naszej organizacji do „ZMW”, skrótu Związek Młodzieży Wiejskiej - oficjalnej PRL-

owskiej młodzieżówki) – mnie zaś w Grupach Oporu „Solidarni” nadano pseudonim „Wiejski” z której jestem dumny do dziś.

Uwięziona młodość.

Na odrębną wzmiankę zasługują więzienne przejścia naszych przyjaciół, których na szczęście nigdy nie było dane mi doświadczyć poza epizodem z izbą dziecka. Zapamiętane opowieści przyjaciół, dotyczące życia więziennego, powinny zostać spisane przez nich samych, niemniej w kilku słowach postaram się oddać klimat uwięzienia.

Wylądowanie „na dołku”, w areszcie, czy więzieniu, stanowiło dla młodego człowieka poddanego wcześniej fizycznemu i psychicznemu zmiękczeniu, olbrzymie obciążenie psychiczne. Za bramą więzienia pozostawała rodzina, przyjaciele, szkoła, praca. W miejsce tej pustki pojawiał się obcy, niezrozumiały i niezwykle groźny świat – obdrapane ściany, brzęk kluczy, stukot butów po stalowych pomostach, kraty, druty, rury, blachy, wreszcie zamknięcie na małej przestrzeni z obcymi ludźmi, często kryminalistami. Już w czasie przesłuchań, funkcjonariusze starali się złamać nas psychicznie wyuczonymi opowiadaniem o zniszczonym życiu, długim odosobnieniu i ciężkich więziennych warunkach. Największą jednak groźbę budziły groźby osadzenia z recydywistami, skutkującymi niechybnymi gwałtami dokonywanymi przez współwięźniów. Pół biedy gdy jako nieletni i trafialiśmy na milicyjne izby dziecka czy na dołek. Zdecydowanie większym przeżyciem było uwięzienie w prawdziwym więzieniu. Zaraz po zatrzymaniu trafiało się do milicyjnego aresztu, czyli na tzw. „dołek”, gdzie trafiało się na mieszaną przeróżnych osób – od prawdziwych zatwardziały, wręcz kryminalistów, doliniarzy, alfonsów i prostytutek poczynając, przez osoby przypadkowe zatrzymane na ulicach lub kotłach, na opozycjonistach kończąc. Często już wtedy następował pierwszy kontakt z podstawionymi „kapusiami”, którzy próbowali zdobyć zaufanie świeżo zatrzymanego „jeńca” oraz informacje pomocne w późniejszym śledztwie. Następnym etapem były areszty śledcze lub po wyroku „z bomby” od razu docelowe więzienia. Najwięcej szczęścia mieli którzy trafiali „pod celę” z więźniami politycznymi. Tutaj odsiadka rekompensowana była ciekawymi znajomościami i możliwością poszerzania własnych horyzontów. Najgorsze jednak było zamknięcie w ciasnej celi z recydywistami. Nie zawsze więzień polityczny mógł liczyć na ich pobłażanie i tolerancję. W więzieniach dochodziło do wielkich tragedii, o których powinni jednak pisać przede wszystkim ci, którzy ich doświadczyli.

Cele, z reguły ciasne i przeludnione, zmuszały do bezpośredniego towarzystwa z innymi współwięźniami, odzierając skazanych z godności i intymności. Muszla klozetowa, czyli „bardach” oraz umywalka znajdowały się na tej małej przestrzeni, z reguły bez żadnej dodatkowej przegrody. Trudno nam, osobom które tego nie doświadczyły na własnej skórze, wyobrazić sobie koszmar wielomiesięcznego, czy kilkuletniego odosobnienia w takich warunkach.

Każdy więzień miał prawo do tzw. wypiski, czyli prawa do dokonywania zakupów w więziennym sklepie określonych towarów za określoną sumę. Wypiska była prawem więźnia, które traciło się nawet za drobne przewinienia. W odosobnieniu warto było być niepalącym, wykupiony przydział papierosów stawał się najmocniejszą walutą w więzieniu.

Więźniowie dla zabicia czasu, ale i dla poprawienia warunków socjalnych wykonywali i ukrywali „pod celami” mnóstwo nielegalnych przedmiotów. W więziennych manufakturach powstawały przeróżne przedmioty codziennego użytku. Były to między innymi: karty, gry planszowe, przeróżne ostre narzędzia, służące zarówno do posiłków jak i jako do uprawiania przeróżnych więziennych rzemiosł. Jednym z więziennych wynalazków,

była „buzą”, którą stosowałem przez wiele lat w podróżach po Polsce. Była to grzałka do wody wykonana z dwóch żyłek odizolowanych od siebie zapawkami – całość związana nitką. Dzięki zapawkom, między żyłkami tworzyła się milimetrowa szczelina. Jedna żyłka podłączana była przewodem do prądu, zaś druga do grzejnika stanowiącego uziemienie. Wrzucenie tak podłączonej „maszynki” do wody powodowało powstanie łuku elektrycznego, który gotował szklankę wody w kilkanaście sekund. Zdobycie dostępu do prądu też wymagało pewnej przedsiębiorczości – należało dostać się do biegnącej pod tynkiem instalacji elektrycznej i wykonać malutki otvorek pozwalający na kontakt z przewodem.

W więzieniach zdarzały się także uprawy, a także małe wytwórnie alkoholu, który pędzony był np. z fermentującego dżemu czy pasty do zębów. Więźniowie kryminalni dość regularnie narkotyzowali się tzw. „czajem”, niezwykle mocną herbatą wzmocnianą środkami farmakologicznymi. „Czarny” po wyjściu z odsiadki dość długo zamawiając herbatę krzychał - „dwie szufladki na baraban”, co oznaczało dwie miarki z pudełka od zapalek na słoik wody. Prawdziwi twardziele stosowali ponoć proporcję „przegub na baraban” czyli 100g paczka herbaty, dodatkowo wzmocnioną „kogutkami” czyli tabletkami przeciwbólowymi. Trudno sobie wyobrazić jak można było przełknąć taką miksturę. Z braku papierosów długoletni więźniowie potrafili palić przedziwne rzeczy. Jeden z takich przypadków - papieros skręcony z wiórów zestruganych z wypastowanej, drewnianej podłogi kończy się dla „pomysłowego” więźnia atakiem i oddziałem szpitalnym. Codziennie wśród więźniów kryminalnych są samookaleczenia, które mają im umożliwić dostania się na oddział szpitalny. Zdeterminowani kryminaliści są w stanie ryzykować życiem, by choć na chwilę zmienić swoją sytuację. Nie cofają się przed niczym - połykają ostre przedmioty, przebijają ciało i organy wewnętrzne ostrymi przedmiotami ryzykując śmierć. Pominę szczegóły, jako że są zbyt drastyczne, jednak muszę podkreślić, że to nie mieści się w ludzkiej wyobraźni.

Więźniowie odznaczałi się olbrzymią pomysłowością. Ciekawe były sposoby porozumiewania się ze światem, zarówno zewnętrznym jak i z innymi więźniami. Najczęstszym kontaktem ze światem zewnętrznym była „papuga” (adwokat) oraz osoby wychodzące na wolność, przekazujące informacje ustnie lub przemycające na zewnątrz grypsy. Kontakt między więźniami ułatwiała m.in. „chabeta”, czyli przesyłka wędrująca pomiędzy oknami na sznurkach w poziomie, co władze starały się utrudniać instalując na oknach blindy, czyli szczelne blaszane osłony. Dość niezwykły był pewien sposób łączności „bezprzewodowej”. W uzgodnionej porze cele które chciały nawiązać ze sobą kontakt opróżniały syfony muszli klozetowych z wody, dzięki czemu powstawał niezwykle akustyczny tunel pozwalający prowadzić rozmowę pomiędzy celami. Pomysłowość więźniów szła w parze z czujnością klawiszy, robiących regularne rewizje zwane „kipiszami”.

W ciągu dnia więźniowie mieli prawo do jednego lub kilku spacerów. Spaceriak to wygrodzony, niewielki obszar otoczony wysokim płotem lub murem. Poruszanie się w kilku więźniów po tak małym terenie wymaga dość sporej koordynacji – więźniowie idący równolegle lub gęsiego od ściany do ściany wyglądają jak rytmicznie poruszające się elementy jakiegoś wielkiego mechanizmu. Czasami spaceriaki były większe dzięki czemu spacer stawał się bliższy znaczeniu tego słowa.

Pod koniec dnia, część złożonej w „kostkę” odzieży, a także plater (naczynia) więźniowie muszą w formie tzw. „wystawki” ustawiać na korytarz. Za odbieranie „wystawek”, a także inne czynności np. wydawanie posiłków lub zaopatrzenie więźniów w zamówione w bibliotece książki odpowiada tzw. „kalifaktor”, czyli więzień skazany za mniejsze przewinienia. Jest on czasami wykorzystywany do przekazywania wiadomości pomiędzy więźniami. Prace porządkowe w celi wykonują po kolei wszyscy więźniowie, zaś w przypadku cel z kryminalistami wyznaczone osoby, wykorzystywane przez współwięźniów. Więźniowie grypsujący postępują wg absurdałnego chwila kodeksu

postępowania, który sprawia, że często dochodzi do zabawnych historii. Pewnego razu „spod grypsującej celi” pada na korytarz pytanie do kalifaktora „co dziś jest na obiad?”. Odpowiedź z korytarza przynosi okrutne dla grypsującego przesłanie „Pier...lony schabowy!” Wg więziennego kodeksu oznaczało to jedno – jedzenie się skiepiło i każdy grypsujący który weźmie schabowego do ust się „przecweli”. A to dla kryminalistów zupełnie nie były żarty. „Przecwelenie” radykalnie wpływało nie tylko na nietykalności osobistej ale i całe więzienne życie. Jednak schabowy brzmiał tak kusząco, jeść się chciało i natychmiast znalazło się honorowe rozwiązanie tej „dramatycznej” sytuacji. Z celi pada błagalna prośba do kalifaktora „Skicioruj co do schabowego”. Kalifaktor woli nie podpadać więc szybko rzuca upragnione „Z kiciorem co do schabowego” – wszyscy są szczęśliwi! „Przecwelić”, czyli utracić honor można się było od samego dotknięcia „bardachy” (muszli klozetowej) czy dotknięcia „cwela” – więźnia niższej kategorii. Dlatego grypsujący często wykonywali przedziwne czynności i rzucali tajemniczych „zaklęć” po to, by więziennych czci i honoru nie utracić.

Czasami zdarzali się jednak więźniowie, których nie można było zniechęcić do czynności niezgodnych z kodeksem grypsujących. Z jednym z naszych kolegów siedział w celi piroman, który uwielbiał myć „bardachę”. Wlewał do niej jakiś łatwopalny płyn do czyszczenia podłogi, po czym siedział przy muszli i rozkosznie pomrukiwał patrząc na ogień.

Przeczytałem tutaj jedynie kilka zasłyszanych historii. Starałem się nie pisać o patologiach więziennych. Po pierwsze nie czuję się na siłach, tym bardziej że nie mam bezpośredniej wiedzy na ten temat. Jedno jest pewne – jeszcze w latach 80-tych komunistyczne więzienia rujnowały ludzi zarówno psychicznie jak i fizycznie. Powszechnie znany jest fakt planowego niszczenia zdrowia najbardziej tępionym więźniom. Jaskrawym tego przykładem jest ograniczanie dostępu do wody Jackowi Kuroniowi co na dłuższą metę było jednoznaczne ze zniszczeniem nerek i doprowadziło do jego przedwczesnej śmierci.

W przypadku każdego większego zamieszania wśród więźniów, porządek zaprowadzany był przez tzw. „atandę” czyli więzienne oddziały szturmowe, wyposażone jak ZOMO: w pałki, tarcze i kaski z przyłbicami. Oddziały takie tłumiły zamieszanie powstałe podczas nadawanej przez nas dla więźniów audycji Radia Solidarność w październiku 1985.

Jak widać z powyższych strzępków więziennej codzienności, pobyt w więzieniu, poza drobnymi humoreskami, był przede wszystkim niezwykle bolesnym doświadczeniem dla młodego człowieka. Pobyt w więzieniu łamał ludzkie charaktery i nie miał nic wspólnego z resocjalizacją i na zawsze odciskał trwałe piętno na całym życiu uwięzionych i prześladowanych Polaków.

Pożegnanie z Federacją.



Od lewej Zbigniew Brzeziński - Doradca Prezydenta Stanów Zjednoczonych, Jacek Czarnecki i Janek Zieliński i symboliczny autograf na jeszcze ciepłym, a wciąż jeszcze nielegalnym piśmie studenckim „CIA”. Warszawa 1989

Po roku kwarantanny, jako 22-letni student Politechniki Warszawskiej nie widzę już w sobie „młodzieńca”. Nie zamierzam, jak wyśmiewani przez nas działacze ZSMP (młodzieżówka PZPR-u, Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej), czuć się młodo do 40-tki. Dalszą działalność prowadzę więc już głównie w GO „Solidarni”. W Federacji pozostają jeszcze przez jakiś czas Artur Dąbrowski i Tomasz Roguski. Wszyscy w ramach dorastania przechodzimy do struktur naszych starszych „braci” i „sióstr” tj. Grup Oporu Solidarni, NSZZ Solidarność i

NZS i na koniec Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”.

8 marca 1988 wielka manifestacja NZS-u w 20-tą rocznicę Marca '68. Widać już wyraźnie narastającą falę nastrojów niepodległościowych społeczeństwa, która za chwilę doprowadzi do kapitulacji komunistów. Był to wyraźny powiew świeżego powietrza po beznadziei połowy lat 80-tych, kiedy to komuna skutecznie zdusiła wielki, narodowy polski entuzjizm lat 1980-1981. Nie jestem pewien co do roku, ale prawdopodobnie to



Piotr Szynkiel „Kuba” toruje przejście Lechowi Wałęsie

właśnie wtedy instalujemy naszą „gadałę” na Uniwersytecie Warszawskim. W tym czasie tereny uczelni zamieniają się w pierwsze skrawki wolnej Polski, jawnie sprzedawana jest prasa i książki, wiszą transparenty, milicja boi się interweniować.

Nauka na PW nie idzie mi jednak za dobrze, większość wolnego czasu poświęcam działalności opozycyjnej i ukochanym motocyklom. Następstwem braku postępów w nauce jest skreślenie mnie z listy studentów Politechniki Warszawskiej w 1988. Natychmiast upomina się o mnie Ludowe Wojsko Polskie. Mając doświadczenie w poligrafii drukuję sobie fikcyjną kartę szpitalną i tak uzbrojony udaję się na wojskową komisję lekarską. Niestety, mam wyjątkowego pecha. Użyty przeze mnie pierwowzór karty szpitalnej całkowicie się zdezaktualizował (zmiana druku, ordynatora i lekarzy prowadzących) i natychmiast w

związku z tym zostałem zdemaskowany przez członka komisji, lekarza tego samego szpitala i oddziału, który widnieje na mojej „lipnej” karcie. Dostaję propozycję nie do odrzucenia – „kamasze” albo „odsiadka”. Wybieram to pierwsze i odbieram bilet do Ludowego Wojska Polskiego (LWP), będąc zmuszony do wysłuchania pompacyjnej formułki o zaszczytnej służbie socjalistycznej ojczyźnie wyrecytowanej przez pułkownika na WKU. Już po chwili żałuję wyboru – wyraźnie wyczuwa się wiszącą w powietrzu nerwówkę przed zbliżającymi się strajkami '88. Mam się stawić w jednostce pod koniec kwietnia. Nie spieszy mi się. 2 maja wybucha strajk w Stoczni Gdańskiej, ZOMO otacza stocznię, ponownie milkną telefony. Zakładam się z kolegami o jakiś alkohol, że wrócę po miesiącu (wygranej nigdy nie zobaczyłem - podobno wróciłem za wcześniej). Sam sobie golę głowę, by nie dać się upokorzyć fryzjerowi wojskowemu i w dniu 3 maja docieram do jednostki Wojsk Lotniczych w Oleśnicy koło Wrocławia. Fryzjer widząc moje kilkumilimetrowe włosy załamuje ręce i puszcza mnie wolno. Dzięki temu mam później trochę więcej luzu, gdyż stare wojsko nie widząc gołej skóry na głowie, bierze mnie za „swojego”. Przyjmującemu mnie na stan oficerowi mówię, że „nie miałem czasu stawić się w terminie, bo miałem inne ważne zajęcia” –mam za to mieć wyznaczoną karę dyscyplinarną. Nie można mnie jednak skazać za uchylanie się od służby wojskowej, gdyż przyszedłem sam i bez pomocy WSW. Pierwszy obiad w jednostce – szok! Mała garstka suchych kartofli, śledź i jakaś lura do picia. Młode wojsko buntuje się i śledzie zaczynają latać po stołówce. Na nikim to nie robi wrażenia, a dyżurni po obiedzie zmiatają cały ten śledziowy potop do śmieci.

W wojsku nerwowa atmosfera w związku z sytuacją polityczną. Pogadanki z politrukiem uświadamiają mi, że za moment mogę stanąć z AK-47 na ramieniu na przeciwko moich kolegów. To wzmaga moją determinację by się z wojska urwać. Po kilku głośnych awanturach i wizytach u lekarzy „od głowy” zostaję uznany za osobę cierpiącą na „zespół dezadaptacyjny”, czyli mówiąc wprost - za „wariata”. Wszelkie próby zasymulowania „normalnej” choroby, poparte przygotowaną wcześniej dokumentacją lekarską, kończą się niepowodzeniem. Powstrzymanie oddechu w trakcie badania ciśnienia oraz paczka szatańsko mocnych kubańskich papierosów „Partagas” wypalonych jeden po drugim na chwilę przed badaniem daje oszałamiający wynik - 180/220! Myślę, że dziś bym tego nie przeżył. Jednak dla badającego mnie lekarza wszystko było w porządku – stanowiłem idealny materiał na „Obrońcę Socjalistycznej Ojczyzny”. Nie miałem wyjścia musiałem zwariować, tak jak wielu moich kolegów, którym udało się do wojska nie trafić. Do znanych wariatów w podziemiu należał „Baron”, który wyposażony w dobrze udokumentowaną historię choroby poszedł na komisję wojskową pod wpływem środków odurzających w amerykańskiej kurtce wojskowej z moim XIX wiecznym kuferkiem lekarskim. Na komisji szukając wezwania, zaczął stamtąd wyciągać wielką czerwoną flagę, w której miał zawinięte: rozsypaną marihuanę; butelkę wódki; książkę „Narkotyki. Niemyte dusze” Witkacego, mnóstwo lekarstw i inne mocne gadzety. W pewnym momencie dał się nawet zamknąć w szpitalu psychiatrycznym na Nowowiejskiej, gdzie go odwiedzaliśmy. Niektóre sceny i opowieści stamtąd wyniesione spokojnie mogłyby trafić wprost do „Lotu nad kukułczym gniazdem” Kena Keseya. Inny z moich kolegów do perfekcji opanował „zespół braku koordynacji ruchowej”. Facet bez mrugnięcia okiem wpadał na futrynę, próbując pokonać drzwi (objając się przy tym boleśnie). Równie dobrze wychodziło mu siadanie obok krzesła ze zdziwiona miną. Do wojska nie trafił, dziś mógłby zrobić karierę jako mistrz pantomimy. Przy okazji należą się tu wielkie słowa podziękowania dla Solidarności lekarskiej, lekarzy ogólnych, psychiatrów i neurologów. Pomagali oni młodym ludziom wywinąć się z wojska, tworząc każdemu osobną, udokumentowaną historię choroby psychicznej. Pamiętam, jak w ramach pomocy anty-wojskowej pomagali mi lekarze z przychodni rejonowej, szpitala na ul. Sobieskiego i przychodni Psychiatrycznej na ul. Gruzińskiej w Warszawie. Ze skierowaniami szło się od lekarza, do lekarza by w końcu trafić się do szpitala. Ludzie ci ryzykowali dla nas swoją

lekarską karierę, wielu z nas ratując od prawdziwego obłądu jakim była służba wojskowa w PRL. Co prawda lekarze wojskowi próbowali obalać te dokumenty, jednak ryzyko wzięcia do wojska prawdziwego wariata było na tyle wielkie, że często w końcu odpuszczali.

Ja tymczasem trafiał na izbę chorych pod opiekę lekarza ochrzczonego złowieszczyim przezwiskiem „dr Mengele”. Jestem świadom, że byli więźniowie KL Auschwitz odebrać to mogą jako koszmarny dowcip! Mam jednak przeczucie, że ten człowiek w warunkach obozu koncentracyjnego w pełni zasłużyłby na swój przydomek. Był to kawał chama i sadysty, znęcający się psychicznie nad chorymi żołnierzami. Badania miały formę „powszechną” – żołnierze ustawiani byli w szeregu, każdy miał opowiadać o swojej chorobie, rozebrać się do naga i demonstrować chore miejsca by następnie wysłuchiwać szyderstw w akompaniamencie rechotu pozostałych, często mało rozgarniętych żołnierzy. Pamiętam młodego chłopaka z rozszarpanym, nierówno pozarastanym brzuchem, który odniósł obrażenia w wyniku zmiążdżenia przez drzewo. Trafił do wojska wskutek jakiejś paranoidalnej pomyłki. Na swoje dolegliwości dostał „trampki” – najchętniej wykorzystywany przez „dr Mengele” medykament. Kuracja ta polegała na tym że w miejsce ciężkich, zagrzybionych i ciasnych butów, żołnierz przez kilka dni cieszyć się mógł chodzeniem w lekkich, płóciennych trampkach i na tym koniec kuracji. Najciężej chorzy do trampek dostawali dodatkowo polopirynę. O innych lekarstwach na terenie jednostki nie słyszałem. „Mengele” na jednym z naszych kolegów robi przedziwne eksperymenty – szczelnie zatyka mu nos klipsem, po czym każe mu przez cały dzień chodzić z wsadzoną w usta tubą. Wewnątrz tuby umieszczone było śmigiełko, które rozpylało w płucach naszego kolegi jakąś tajemniczą substancję. Kolega ten chodził po oddziale wydając komiczne wysokie, dźwięki, których częstotliwość zmieniała się w zależności od tego czy był wydech czy wdech.

W ramach fali „stare wojsko” znęca się nad młodymi żołnierzami – „kotami”. Wymyśla im idiotyczne zajęcia, które muszą wykonywać, kiedy tylko kadra pójdzie do domu. „Zabawy” trwają do białego rana – ja zostałem przeniesiony na izbę chorych szczęśliwie w czasie tzw. „dnia zatopka”. Ta forma znęcania się nad młodymi żołnierzami, nazwana została na cześć olimpijczyka Emila Zátopka, zwanego „czeską lokomotywą”, znanego z rozpaczliwych min w czasie wysiłku. Wytypowana ofiara przez kilkanaście godzin musi bez najmniejszej przerwy biegać - w miejscu i w ruchu, po sali, korytarzu. Nieszczęśnik nawet w toalecie musi przebierać nogami udając biegacza! Już po kilku godzinach, twarz ofiary zaczynała się wykrzywiać z bólu, co dopingowało tylko sadystów do jeszcze większych szykan, dając im niezrozumiałą radość. Próba wyłamania się z „zabawy” kończyła się pobiciem. Na izbie chorych jest już trochę spokojniej, choć mycie własną szczoteczką całego budynku wraz z „bardachami”, aż do białego rana jest normą. Zadzieram z kilkoma starymi żołnierzami, nie mogąc się pogodzić z „falą”. Obmyślam zemstę - po wyjściu z wojska zamierzam spowodować, że każdy z sadystów dostanie niewinny list z „West Point Military Academy” adresowany na jednostkę wojskową. Już widziałem oczami wyobraźni jak spowiadają się przed oficerem politycznym z tego, czego nie zrobili. W związku z moimi zainteresowaniami historią II wojny światowej sam prowadziłem wówczas bogatą korespondencję międzynarodową, między innymi z West Point - łatwo byłoby mi się podszyć pod moje niedosłze ofiary i napisać list z prośbą o odpowiedź. Na marginesie chcę wspomnieć, że w tamtych czasach, wszystkie listy trafiały do mnie otwarte, z podłużną pieczęcią „ocenzurowano” (włącznie z listami z „zaprzyjaźnionej” Ukrainy).

Mój plan zemsty pali jednak na panewce – zdradza mnie kolega z izby chorych, do dziś nie rozumiem dlaczego to zrobił. Zostałem uprzedzony przez jakiegoś młodego żołnierza (dzięki ci chłopie) - z początku mu nie wierzę, potem jednak przekonuje mnie mówiąc mi o szczegółach mojego planu zemsty. Nikt o nich nie wiedział poza mną i zdrajcą. „Stare wojsko” postanawia zrobić ze mną porządek i nie wypuścić mnie z wojska, z którego miałem

wyść przecież już za 3 dni (nawet nie chcę myśleć co to oznaczało). Ukrywam się przez te kilka dni nocując w śmietniku i krzakach. Błogosławię chwilę, kiedy wojsko wydało moje, obce już ciało po zaledwie 17 dniach - to było moje prawdziwe „семнадцать мгновений весны”. Na pożegnanie LWP wnioskuje o odebranie mi prawa jazdy, jako żem „wariat”, a ja cieszę się uratowaniem życia, uciekając zawczasu przed zemstą „starego wojska”. Wychodzę z wojska w sporej grupie symulantów, jednak jedyny jako wariat. Pozostali koledzy masowo zachorowali na wrzody żołądka. Numer polegał na tym, że znali oni objawy i tak skutecznie symulowali, aż trafili na gastroscopię. Na badanie szli na czczo, ale wpierw zjadali łyżkę ostrej musztardy, która podobno doskonale imituje owrzodzenie żołądka, widziane przez lekarza w czasie badania gastroscopii.

Niezrażony zamachem na moje „prawko” tryumfująco wracam do Warszawy, gdzie natychmiast zostaje oskarżony przez LWP o uchylanie się od służby wojskowej. Broni mnie mecenas Wiesław Johann z Komitetu Prymasowskiego na Piwnej. Dzięki jego strategii nie zostaje dopuszczona do głosu oskarżycielka, czyli szefowa komisji wyborczej - zagorzała komunistka. Wezwano ją w charakterze świadka. Przez dwie godziny taksowała mnie spojrzeniem prokuratora- po 15 minutach rozprawy i wniosku formalnym mecenasa, woźny obwieścił jej że jest zbędna. W chwilę później w zamian za przyznanie się do winy i mojego rzekomego „obłądu” cieszę się niskim wyrokiem – sześć miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata i o dziwo - nieodebrany prawem jazdy.



Mój motocykl K-750 - jeden z pierwszych „członków” FMW. Stoję koło autobusu (drugi z prawej) rozmawiając z Tadeuszem Janiszewskim – Komisarzem Wyborczym nr 7 Komitetu Obywatelskiego „S” na Grochowie w maju 1989

Po wyjściu z wojska włączam się w strajki studenckie w 1988 i 1989 roku. Moim starym sowieckim motocyklem, K-750, służącym dzielnie w FMW od 1984 roku, transportuję na Uniwersytet materiały poligraficzne, a potem rozwożę drukowane tam plakaty, bibułę i ulotki. Czując zbliżający się koniec komuny akcje uliczne stają się coraz bardziej bezczelne. Pojawiają się tzw. „kadrówki”. Są to kilkunasto-, może kilkudziesięcioosobowe manifestacje, które nagle i z zaskoczenia pojawiają się w

ruchliwym centrum Warszawy. Rozwijane są transparenty i sypane ulotki. Ludzie zaskakiwani naszą bezkarnością, widzą bezradność komuny. „Kadrówki” rozpylają się po podwórkach i uliczkach równie gwałtownie jak się pojawiły, na moment przed przybyciem policji. Czasami po krótkim czasie pojawiają się w innym miejscu miasta, wywierając efekt psychologiczny na samych ZOMO-wcach i SB-kach. Coraz częściej organizowane są przeróżne happeningi. Po Okrągłym Stole włączam się w działalność Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, zamieniając motocykl w słup ogłoszeniowy, przez co jestem notorycznie kontrolowany przez drogówkę. Kleję ulotki i plakaty wyborcze. Rozwożę wydrukowane materiały z drukarni w pierwszej siedzibie Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” na Fredry, m.in. do strajkujących studentów na Uniwersytecie Warszawskim.

W czasie jednego z takich kursów, razem z Jankiem Zielińskim, wiozę ciepły jeszcze nakład NZS-owskiego pisma „CIA” (podówczas jeszcze nielegalnego), ukrytego pod... legalnymi już plakatami wyborczymi KO „S”. Dla niepoznaki omijamy bramę główną, kierując się do tzw. Bramy Śląskiej wychodzącej na ulicę Obozną. Nie mogliśmy zrobić nic głupszego. Po chwili zatrzymuje nas Milicja pilnująca bocznych wejść Uniwerka i rewiduje kosz motocykla. Kłócimy się z milicją, wykrzykując, że materiały KO „S” są legalne. W zamieszaniu tym nikt nie zwraca uwagi na „CIA”. Milicjanci, nie wiedząc co mają z nami zrobić, czepiają się do stłuczonej lampki w motocyklu. Po chwili wjeżdżamy bez problemu na teren Uniwerku. Wraz z Juliuszem Siudzińskim (znanym kolekcjonerem samochodów zabytkowych) biorę udział w spotkaniach wyborczych, na których mój sowiecki motocykl „eskortuje” jego przedwojenny autobus Polski Fiat 618. Do dziś pamiętam twarze milicjantów legitymujących mnie w trakcie plakatowania, na widok prezentowanego przez mnie oficjalnego upoważnienia „do prowadzenia akcji plakatowej na terenie dzielnicy Praga Południe”. Staliśmy naprzeciwko siebie z dziwnymi minami, wiedząc że coś tu nie gra... Przecież mieliśmy się bawić w „milicjantów i złodziei”, a tu jakieś upoważnienia i legalne plakaty „Solidarności”!

Zostaje tzw. mężem zaufania i jako członek Komisji Wyborczej i z ramienia KO „S” nadzoruję przebieg wyborów w jednym z okręgów na Pradze Południe. Po wyborach 1989 roku całkowicie wycofuję się z działalności politycznej.

Jakie były dalsze losy moich przyjaciół.

Piotr Szynkiel „Kuba”, „Szyna”, „Czereśniak” aż do 1989 roku bierze na siebie kierowanie FMW, zarówno jako członek „krajówki”, jak i szef struktur FMW w Warszawie.

Adam Golański, czołowy drukarz i założyciel pierwszej profesjonalnej drukarni FMW, drukował tak wiele tytułów, że sam ich wszystkich pewnie już dziś nie spamięta. Były tam m.in. na pierwszym miejscu oczywiście KOS i Tu i Teraz, wzruszające pisemko „Okienko” redagowane i ręcznie pisane przez uczniów szkół podstawowych, a także gazety opozycyjne w języku węgierskim, ukraińskim („Samostijnik”, „Wisti z Rimu”), czeskim, rosyjskim a nawet angielskim.

Tomasz Roguski i Jacek Czarnecki po roku 1989 szkołą opozycjonistów m.in. na Białorusi i Litwie.

Artur Dąbrowski wchodzi w struktury „Solidarności” na terenie Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie pracuje.

Wszelki ślad zaginął natomiast po „Młodym”, mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Słowniczek

W naszej działalności, a potem już w życiu codziennym posługiwaliśmy się językiem, stanowiącym specyficzną mieszankę konspiracyjnego nazewnictwa i wtrąceń gwarowych. I tak po kilku latach konspiracyjne kryptonimy zostały uzupełnione wtrąceniami z gwary młodzieżowej, ale również więziennej, przejmowanej od naszych „garujących” kolegów. Dziś myślę, że odpowiedzialność za to, że tak wiele jest we współczesnej mowie zwrotów z języka więziennego, w jakiejś części spoczywa także na komunistach. Traktowali oni bowiem osadzanie więźniów politycznych wśród kryminalistów jako dodatkową możliwość łamania ludzkiej odporności i represjonowania, powodując tym samym, że niektóre elementy grypsery tak się upowszechniły. Poniżej przytaczam listę słów i zwrotów, które udało mi się wygrzebać z pamięci.

bajer, bajera	rozmowa
bałach	opowieści ubarwione lub nieprawdziwe
baraban	słoi
bardacha	ubikacja
berta, gruba berta	nadajnik używany do transmisji radiowych
blondyna	pałka milicyjna
bomba	wyrok więzienia udzielany w trybie natychmiastowym
buda	milicyjny samochód na podwoziu pojazdu ciężarowego do przewożenia zarówno ZOMO-wców jak i więźniów
białe szaleństwo	ser biały
bibuła	nielegalna prasa wychodząca w podziemiu poza zasięgiem cenzury
chawira, hawira	dom
chabeta	przesyłka przeciągana pomiędzy oknami cel
cwel	więzień wykorzystywany seksualnie (przecwelon) przez współwięźniów
cykor	strach
cynk	informacja
cynkwais	wytatuowana kropka nad lewym okiem, znak rozpoznawczy „gitowców”
czaj, czajura	bardzo mocna herbata, często z dodatkiem środków odurzających
czystka	usuwanie z mieszkania kompromitujących materiałów przed spodziewaną rewizją
diap	diapozytyw – przezroczysta klisza, na której wywoływane jest kontrastowe zdjęcie makiety pisma lub książki, stosowana w sitodruku
doliniarz	kieszonkowiec
dziargać się	samookaleczać się, robić sobie sznyty
fart	szczęście
filować	wyglądać czegoś lub kogoś (zwłaszcza policji)
firany	kraty w oknach celi
gadała	urządzenie nagłaśniające do nadawania audycji ulicznych
gady	milicja
garować	siedzieć w więzieniu
git	członek subkultury więziennej
giwera	pistolet
gnidy	milicja
gryps	spisana na małym kawałku papieru informacja przekazywana potajemnie
grypsera	gwara więzienna
kablować	sypać, zeznawać na milicji, donosić
kadrówka	niezapowiedziana nielegalna manifestacja z transparentami i ulotkami, rozwiązywana przed pojawieniem się milicji
kalifaktor	więzień skazany za lżejsze przewinienia, wykonujący prace pomocnicze
kima	sen
kipisz	rewizja
kit	kłamstwo
kimać	spać
kitrać	chować
klamka	pistolet

klawisz	strażnik więzienny, funkcjonariusz służby więziennej
kojo, koja	prycza lub łóżko
kopsnąć żaru	zapalić papierosa, podać ogień
kopsnąć	podać, sprzedać, dać
komarunek	sen
kosa	nóż
kuban	godzina
kwadrat	dom, mieszkanie
la bomba	paczka około 1-2 tys. zwiniętych ulotek rzucana z ręki
lipo	wizjer do drzwi celi
łodówka	więźniarka
manifa	manifestacja
mazowszanka	podziemny tygodnik „Mazowsze”
menty, menty	milicja
mojka	żyłotka
papuga	obrońca
paw, pawełek	podziemny tygodnik Przegląd Wiadomości Agencyjnych PWA
plater	aluminiowe talerze
pierdziel	więzienie
pikawa	serce
pies	milicjant
pucować się	oznajmiać głośno w celi zamiar zjedzenia posiłku lub skorzystania z ubikacji.
podziałkować	podzielić
pofarcić	poszczęścić się
przyczajka	działanie z ukrycia
przyfilować	zauważyć
przewieszka	przywieszka , paczka ok. 2-4 tys. ulotek przewiązana sznurkiem, który przepalany był lontem lub papierosem
przylipić	patrzyć, obserwować
rakieta z szamunkiem	paczka żywnościowa
ramka	wykonana z drewna rama, na której rozpięta jest tkanina do sitodruku, czasem mniej profesjonalna matryca białkowa. Był to podstawowy element wyposażenia podziemnej drukarni, z czasem wyparty przez profesjonalny powielacz.
samara	brzuch
sikor	zegarek
sito	od sitodruku - techniki drukarskiej
skitrać	schować
słuchać (kogoś)	przesłuchiwać
smutniak	chleb
spacerniak	otoczony kilkumetrowym murem lub płotem obszar, na który wypuszczani są więźniowie na spacer
sypać	rozrzucać ulotki
sypać	kablować, zeznawać na milicji, donosić
szlaban	zakaz
szuflada	więzienna miara odpowiadająca pojemności pudełka zapalek
suka	samochód milicyjny
szamać	jeść

szmata	transparent
sznyt	blizna po samookaleczeniu
śmigać	biec, szybko chodzić po celi od ściany do ściany
tachać	nieść
tyrać	pracować
uderzyć w kime	zasnąć
wapniaki	rodzice
wacha	benzyna
wystawka	złożone w kostkę ubranie, które wraz z naczyniami wystawione jest wieczorem z celi na więzienny korytarz
zawiasy	wyrok więzienia w zawieszeniu
z przyczajki	z zasadzki, nagle
zobraczkować	założyć kajdanki
zadyma	manifestacja zakończona rozruchami i starciami z ZOMO

Od „Wiejskiego”.

Jeszcze jedna refleksja na koniec. Ze względów bezpieczeństwa, za każdym razem gdy dochodziło w naszym środowisku do jakiejś wyspy, domowe archiwum i materiały nielegalne (nadajniki, wyrzutniki) lądowały w rozsianych wśród znajomych schowkach. Pierwsza partia dokumentów zniknęła na zawsze zamurowana w... jakimś tajemniczym klasztorze, na nasze nieszczęście obok „bardzo ważnych dokumentów”. Kiedy chciałem je odzyskać okazało się, że „odmurowanie” miało nastąpić już w wolnej Polsce... Ciekawe czy nastąpiło? Następne „ewakuacje” składowane są u bliższych i dalszych znajomych, z reguły u osób sympatyzujących, ale nie włączonych bezpośrednio w konspiracyjną robotę. Niestety, robimy to z wdziękiem roztargnionej wiewiórki, która ciągle zapomina, gdzie zakopane są orzeszki. Poza tym do 1989 roku nigdy nie było na tyle stabilnej sytuacji, by można było zacząć znosić dokumenty i wydawnictwa bezpiecznie w jedno miejsce - wręcz przeciwnie, wciąż musieliśmy robić nowe czystki. Nieliczne ocalałe gazety, ulotki i plakaty w tym m.in.: gdańskie „BISZ” i „Monit”; gdyńską „Antymantykę” i „Magazyn FMW”; krakowskie „ABC Młodych” i „BMW”, warszawskie „Serwis Informacyjny CZI”, „Bunt”, „Nasze Wiadomości” i „Wagę”, „Szaniec” Gorzowskiego RMN i wiele innych w roku 1991 przekazuję w trakcie zbiórki bibuły zorganizowanej przez Ośrodek Karta w dawnym Muzeum, nomen omen, Lenina. Potem żałowałem, że tak lekkomyślnie wszystko oddałem, żałowałem aż do momentu, gdy okazało się, że wszystkie te materiały dostępne są w Polskiej Bibliotece Internetowej www.pbi.edu.pl. Wszystkie nasze ocalałe pamiątki i dokumenty w końcu trafiają do „Archiwum FMW”, utworzonego po latach przez Stowarzyszenie FMW we współpracy z Ośrodkiem Karta w Warszawie. Dziś, po latach, trochę mam do siebie żal za tak fanatycznie stosowaną konspirację, brak zdjęć wykonywanych podczas „roboty” i niedosyt pamiątek! Jest to problem zarówno warszawskiego FMW jak i Grupy „Waldka”, stanowiącej trzon Grup Oporu Solidarni. Jedno jest pewne, nie było innego wyjścia – na pewno wiele osób uniknęło dzięki tej ostrożności przymusowych wakacji.

Wspomnienia te starałem się spisać chronologicznie, przepraszam osoby, które pominałem i za wszystkie relacje, które po ponad 20-latach mogły ulec zniekształceniu lub zatarciu.

Czasami zastanawiam się co by ze mną działo gdybym ponownie znalazł się w tamtych czasach i realiach. Myślę, że robiłbym dokładnie to samo, choć chciałbym działać mocniej, bardziej efektywnie. Dziś po latach mam jakiś taki niedosyt, mam wrażenie, że dałem z siebie dużo mniej niż mogłem. Jedno jest pewne to najlepsze lata mego życia i jestem

wdzięczny opatrności że mogłem się odnaleźć w tak ważnym dla Polski okresie i to właściwej stronie.

Na zakończenie pragnę podziękować za wspólną działalność wszystkim koleżankom i kolegom z podziemia, tym wspomnianym wyżej i tym pominiętym. Chcę podziękować także mojej mamie, która miała ze mną tyle emocji i tacie, który na długo przed rokiem '80 nauczył mnie słuchać Radia „Wolna Europa”.

W niniejszym materiale wykorzystałem wspomnienia moich kolegów Artura Dąbrowskiego, Jacka Czarneckiego, Adama i Moniki Golańskich, Marka Głowackiego, Darka Krawczyka, Wojciecha Nachiło, Roberta Napiórkowskiego, Tomka Roguskiego, Piotrka Szynkiela.

Jacek „Wiejski” Górski